

Relacja Zofii Skały

Nazywam się Zofia Skała z d. Konowerska. Urodziłam się 23 IV 1916 r. w Obryce obok Lwowa. Rodzice moi to Magdalena i Franciszek. Ojciec był urzędnikiem w ubezpieczalni społecznej dawnej Kasie Chorych, a mama prowadziła skromne gospodarstwo domowe.

Przed wojną mieszkalam i zaczęłam studia w Warszawie.

Do partii politycznych nie należałam żadnych, ale należałam do harcerstwa od 1931 roku. W Warszawie też prowadziłam drużynę harcerską przy ul. Dolnej. Była to drużyna dziewcząt ze starszych klas szkoły podstawowej, miała liczbę 60.

Do domu przyjechałam w połowie lipca 1939 roku, dlatego, że prowadziłam oboz harcerski tej właśnie drużyny w Kaletach koło Społki. W domu byli rodzice i dwaj bracia: Marian i Bronisław.

Wkroczenie Armii Czerwonej dla nas było bardzo wielkim szokiem. Nie wiedzieliśmy, czy to prawda, czy nieprawda, czy to tylko tak ludzie mówią, bo zaraz 17 IX na terenie Lwowa i okolic Armii Czerwonej nie było. No, ale spodziewaliśmy się każdego dnia, że już przyjdzie na nasz teren. Na terenie Bóbrki, w której wtedy byłam było bardzo dużo wojska naszego, polskiego. Bardzo oni byli zmartwiczeni, bardzo byli smutni. Chodzili grupkami, gdzieś tam byli po różnych domach. W moim domu było też kilku oficerów, z którymi właściwie niewiele rozmawialiśmy. Ojciec tam często nawiązywał kontakty.

Polacy byli przerażeni. Na ten temat niewiele z ludźmi rozmawialiśmy, bo po prostu strach nas ogarniał niesamowity, ale przeżywaliśmy wielki niepokój i było nam bardzo ciężko. Nie pamiętam, którego dnia żołnierze radzieccy weszli do Bóbrki

Widzieliśmy jak przyjeżdżali na takich małych wozkach, szeroko rozłożone niskie, małe drabiny, zaprzęzone w jakies bardzo niedzne konie. Bardzo byli niedznie ubrani, ale wszyscy mieli karabiny z tymi pikami, czy ostrzami na lufach. Jechali cały czas i nie zatrzymywali się, widocznie mieli taki polecenie, że maja jechac i nie zatrzymywac się. Dopiero za pare dni pojawili się ludzie, ktorzy zaczęli obejmowac administracja w Bobrcie. Najpierw, ja nie widziałam tego, ale wiem, mowil mi moj brat - jak tylko wkroczyli, to z miejsca biedota miajska (byli to Polacy a naprawde Ukraińcy, a było takich w Bobrcie dosyc duzo) - zesli do folwarku, a było to niedaleko mojego domu i zaczęli grabic, cały Folwark Biały Dwor. Ja mieszkałam wtedy w Bobrcie przy ul. Kopernika 140, dawniej to się nazywało Zamłynie.

Ten folwark miał nazwe Biały Dwor. Był bardzo dobrze utrzymany, bardzo dobrze zagospodarowany, Podobno dano bryczkę i konie właścicielom folwarku panstwu Czajkowskim. Tam był pan Czajkowski, jego zona i głuchy brat pana Czajkowskiego. Pojechałi w jakim kierunku nie wiem. Rozgrabili wszystko. Podobno z chlewów pobrali swinie, pobili natychmiast nie wiem, czy jedna czy dwie, nawet nie czyscili ze szczeciny. Rozpalili ognisko niedaleko nas i tam zrobili sobie uczte. Brali sobie na jakies kawalki drzewa, galazki czy na cos to mieso i jedli. Oczywiście spiewali, okrzyki, było to barzo bolesne. Bardzo duzo młodzieży, m.ni, moj brat pobiegli na ten teren, zeby zobaczyc, jak to wyglada.

Rozebrano tez ziemie, nie wiem jak ja tam dzielono. W kazdym razie zbierano jakies resztki zboza i jarzyny, ziemniaki, co się dalo. Ale pozniej, jak trzeba było juz ten teren zagospodarowac na zime, to nie było chetnych.

Wiem z opowiadania, że objeli tam władze również miejscowi. Był niejaki pan Hojko, nie pamiętam jego imienia. To była większa rodzina Hojków, oni to chyba objeli tę główną władzę, tak jakby starosty. Wiem, że np. oświata, która się zawsze interesowała objął pan Dirny, też Ukraińiec, sąsiad nasz, bardzo przyzwyczajony człowiek. Zabrał się on za organizację oświaty na terenie Bobrki i całego powiatu bobreckiego.

Administrację na terenie Bobrki wzięli w swoje ręce Ukraińcy.

Życie codzienne było bardzo nudne, nudne. Nikt na nic nie oczekiwał. W sklepach było prawie pusto. Ale to nie przeszkadzało nam. Każdy coś tam w domu miał, jakos obchodził się tym, co ma. Nie czekaliśmy na nic specjalnego.

Ja byłam tak strasznie przybita i tak strasznie zmartwiona, że chyba przez tydzień chodziłam codziennie do stacji kolejowej Chlebowice-Bóbrka, po to by się dowiedzieć, czy już idą pociągi do Lwowa czy nie i czy ja się dostanę do Warszawy. Tym bardziej, że, tak jak mi mówiła matka, Warszawa poszukiwała mnie, bo po prostu poszukiwała drużynowej drużyny szesnastolatki. Ale mi o tym rodzice nie powiadaeli, bo bali się, że ja albo pojde pieszo, albo jakos bede się chciała dostać.

Staralam się zająć czymkolwiek w domu - trochę praca w ogrodzie, prasowałam, sprzątałam, bo uważałam, że ja niedługo będę na tym terenie. Ale jak już zaczęły ruszać szkoły (a ja byłam związana ze szkołą), to doszłam do wniosku, że trzeba też czymś się zająć. Nie poszłam ja sama do tego tzw. wydziału oświaty do pana Dirnyca. Jakos nie miałam odwagi, nie chciałam. W końcu poszedł mój ojciec. Powiedział, że już jest dosyć późno, że wszystkie miejsca w Bobrcie są zajęte i jeżeli ja chce, to mogę dostać miejsce zatrudnienia we wsi niedaleko

Bobrki, w Wodnikach. To było chyba 14 km czy 15 od tego terenu. Oczywiście poszłam do tego wydziału oświaty później. Nie wiem, czy podpisałam jakąś umowę, czy dostałam jakiegoś zaangażowanie, nie pamiętam dobrze. Akurat była konferencja wszystkich dyrektorów, czy kierowników szkół - nie wiem, jak się to nazywało. Brałam udział w takiej konferencji i poznałam swego kierownika szkoły w Wodnikach, niejakiego pana Kysakowa. To był Ukraińiec.

Szkole była oczywiście szkoła ukraińska. Ja znałam dobrze język ukraiński, miałam nawet prawo nauczania w języku ukraińskim i nie sprawiało mi to specjalnych trudności ani bólesci. Ja kończyłam przed wojną szkołę, seminarium w Nazarecie przy ul. Unii Lubelskiej 9 we Lwowie. W Warszawie zaczęłam studia psychologiczno-pedagogiczne, chciałam iść jakos dalej.

Pojechałam do tych Wodnik trochę przerażona, niespokojna. Ale ojciec mój, ponieważ był kontrolerem ubezpieczalni społecznej, miał bardzo dużo różnych kontaktów w powiecie bobreckim. M.in. w tych Wodnikach miał znajomego sędziego, niejakiego pana Myśka. On się budował i tak się złożyło, że miał w tym domu pokój, czy nawet dwa pokoje wolne. Bał się, aby nie zajęli mu żołnierze radzieccy i wobec tego odstąpił mi to mieszkanie. Oczywiście nic za to nie płaciłam, bo nie miałam z czego.

Pierwsze pobory moje to było 130 rubli. A kilogram mięsa wieprzowego w uboju gospodarczym kosztował 100 rubli. Więc życie było bardzo skromne, rodzice dowozili mi co się dało z domu. Oczywiście nie było tego za dużo, nie było luksusów, bo nigdzie ich nie było. Ale głodu nie cierpiałam.

Chciałam, ażeby moi bracia też chodzili do szkoły średniej, bo byli w tym wieku, więc zapisałam ich do VI Gimnazjum we Lwowie przy ul. Koczakowskiej. Oni mieszkali razem ze mną, ja musiałam im gotować obiady i dawać jedzenie. Jakos do tej szkoły

chodzili i byli bardzo zadowoleni. Do Lwowa dojeżdżali. Mieszka-
li u mnie w Wodnikach, dochizili do Stacji Stare Sioło 3 km
i stamtąd dojeżdżali. Ale to trwało krótko, bo brat mój starszy
Marion już był w grupie konspiracyjnej i chyba z początkiem
grudnia wybrał się w świat. Oczywiście został aresztowany,
siedział w więzieniu w Charkowie. Został aresztowany na granicy
przez Roskich. Podobno ojciec mój dostał zawiadomienie o tym
aresztowaniu i potem przychodziły już listy z Charkowa z wie-
zienia. Później był w Kazachstanie w kopalni, a następnie
dostał się do armii Sikorskiego. Tak jak opowiadał, to biegli
chłopcy 12 km, aby jak najszybciej dostać się do rejestracji.
Był on wtedy w trzeciej gimnazjalnej, miał więc chyba 15-16 lat
Brat mój przeszedł jakąś całą linię bojową i jest teraz w
Londynie.

Nikt z nas nie czekał, że dostanie coś dobrego, że będzie
dobrze. W każdym razie to co mi ludzie opowiadali to wiem,
że niektórzy Ukraińcy witeli wojsko radzieckie chlebem i solą.
Gdzieś nawet na mojej ulicy, niedaleko mego domu. Mielismy
obok dość dużo sąsiadów Żydów. To byli bardzo przyzwyczajeni lu-
dzie, dobrzy sąsiedzi, dbający o sąsiadów, nie obchodziło ich
kto kim jest. Ale oni z miejsca zaczęli się dostosowywać.
Wiedzieli, że przychodzi taki w średnim wieku Żyd z miasta (a zawsze
byli starannie ubrani). bez krawata. Powiedział "musiałem
zdjąć krawat, aby się bardziej podobać władzy radzieckiej".
No i raczej nas uspokajali, że wszystko będzie dobrze, że nie
ma zwartwienia, że dobrze, że stawiają front Niemcom. Wszyscy
bowiem bali się Niemców. Wszyscy robili to, co do nich należa-
ło. Krawcowe szyły, gospodynie pracowały na ogrodzie, stolar-
ze - wszystko było bez specjalnego kłopotu, chociaż trwoga
cały czas była bardzo wielka.

Najbardziej przeżywał te całą tragedię mój ojciec, który był hallerczykiem i wiedział, jak to wszystko wygląda. Był czytany, kończył jakiś kurs obrony, cywilnej.

Wybory do zgromadzeń ludowych, to były pierwsze wybory w moim życiu. To było chyba w kwietniu 1940 r. Wyborów wcześniejszych, z października 1939 r. nie pamiętam. A może to były te. Ja wiem, że były jakieś wybory, ale to chyba było później, w październiku nie mogło to być. Niemożliwe. Wkroczyli we wrześniu, zanim jako tako się opamiętali i od razu do wyborów - to chyba jednak było na wiosnę. Ja przerażona byłam, że pierwsze raz idę do wyborów w takiej sytuacji. To było chyba w dzień Wielkiejnocy. Oczywiście przygotowania do tych wyborów były bardzo duże, były niesamowite zebrania, tzw. mityngi po wsiach. Było również tak, że na jednej ulicy było po kilka grup, po to, aby nie było tłoku..Np. zbierali się ludzie w jakimś tam domu, gdzie przychodził jakiś NKWD-ysta i wyjaśniał. Oczywiście najboleśniejsze było to, że wszyscy ci mówiący, Rosjanie, wyzywali bez przerwy Polkę od szlacheckich, zgnilych. Pamiętam ciągle to "zgnila Polska, zgnila Polska" - bez przerwy to człowiekowi w uszach brzmiało. Ja ułożyłam sobie te wybory tak, że ja wetane rano, bardzo wcześnie, i pojde jak najszybciej na te wybory (to było w Wodnikach) po to, aby zdążyć do kościoła w Bóbrce na rezurekcję. No i rzeczywiście udało mi się to, oddalam głos, tam była cała komisja w szkole, sala pięknie ubrana tymi różnymi papierami, kwiatami, portretami. Wejście też ubrane, porobione jakieś girlandy. Oczywiście to wszystko robiły dziewczęta - Ukrainki. Tam raz, że Polaków było mniej, a drugi raz, że one tym się zachwycaly. Piaskiem wysypane wejście, pozamiatane, ach w ogóle - nadzwyczajności. Oczywiście, to było bardzo nudne i prymitywne

i raziło to wszystko bardzo.

Oddalam więc ten głos i biegiem pod górę i idę do swojego domu na święta i rezurekcyjne do kościoła. Szłam dosyć szybko, ale ponieważ coś jeszcze nieślam do domu, było mi dosyć ciężko. Część rzeczy zostawiłam jak podaszłam już pod górę w takim domu znajomym, oczywiście u ludzi z wodnik, wiedziałam, że mi tego nikt nie zabierze. Nie dałam rady tego unieść. Już byłam w Szpilczynie (Szpilczyna to był taki przysiołek, też na górze) i usłyszałam, że już bija dzwony. Tak biegłam, że stanęłam w kościele, jak już procesja weszła do kościoła. Oczywiście byłam na całej rezurekcyjnej, a potem poszłam do domu i świętowaliśmy z wielkim smutkiem w domu. Brata, tego który został już aresztowany w domu nie było, było nas w sumie tylko czworo.

Jeszcze taką rzecz pamiętam, chyba to było w tym samym czasie. Część domu była zajęta przez ludzi. Lemków, którzy byli sprowadzeni do jakichś robot. Zajmowali oni jeden duży pokój i korzystali oczywiście ze wszystkiego, co było w domu, co było im potrzebne. Chyba ich było sześć. Na Wielkanoc nie wiedzieli, co ich czeka, nie wiedzieli, jak to będzie. Oczywiście pomylił się rano, tu nad wodą, z tymi miednicami... Poubierali się, w co tam mieli, poczesali się i gdzieś koło godziny dziewiątej - mama prosi ich na śniadanie. Śniadanie było bardzo skromne, pamiętam, że kupiłam jakiś kawałek wołowiny, jakiś dosyć duży kawałek i z tej wołowiny zrobiliśmy roznosci. Wisco były pierżen wołowa, były jakis kotleciki mielone, były jakis grzybki, w każdym razie tak, żeby ta wołowina była w różnych postaciach. Oczywiście pieczywo białe było, bo było jeszcze z czego zrobić, no i jajka, bo były też. Ten moment zjaven był niesamowity, dlatego, że ci Lemkowie tak się strasznie rozplakali, bo nie przypuszczali, że się ich poprosi na śniadanie wielkanocne, a oni z dala od domu, od swoich rodzin.

Bardzo długo się modlili, zanim się jakos uspokoili i byli szczeniwi, że przeżyli to śniadanie Świąt Wielkanocnych w jakimś bardzo skromnym, ale uroczystym sposobie.

Ja w tej wsi, Wodnikach, czułam się dobrze. Dawałam sobie radę ze szkołą, czasami miałam jakieś trudności z nazwami przyrodniczymi, ale to używałam nazw polskich i nic się nie stało. Ludzie mnie właściwie szanowali, lubili mnie, dzieci też. Miałam dzieci chętne do pracy. Byłam w środowisku ukraińskim, ale ja nie miałam żadnych kłopotów. Wiedziłam o tym, nie było to zresztą tajemnicą, że ten dyrektor czy kierownik był być może zaangażowany w jakichś grupach ukraińskich. Ja sobie zdawałam z tego sprawę. Ale ja nie chciałam przerwać pracy na uniwersytecie, więc ja się zgłosiłam na uniwersytet. Najpierw szukałam psychologii i oczywiście jej nie znalazłam. Wtedy był asystentem psychologii we Lwowie dzisiaj prof. Tomaszewski. Tadeusz. Z nim byłam w kontakcie i ciągle pytałam, kiedy będzie psychologia otwarta. Niestety, w pewnym momencie powiedział mi on, że nie będzie otwarta. Wobec tego myślałam sobie - co ja zrobię, na co pójdę? Poszłam na historię. Zdawałam bardzo szybko, bardzo dobrze egzamin, byłam zdziwiona, że aż tak dobrze. To było późną jesienią, a może nawet w styczniu. Ale później sobie myślałam - co ja zrobiłam, na historię poszłam, wykluczone! Nie wiedziałam, czym to pachnie, ta historia, nieorientowałam się. Wobec tego zostawiłam tę historię i poszłam na rosyjski. Byłam na rosyjskim przez cały czas okupacji ruskiej, coś tam robiłam i nawet dawałam sobie z tym rosyjskim zupełnie dobrze radę. Ja studiowałam, jednocześnie pracując, zaczęłam. Jechałam w sobotę na niedzielę, całą niedzielę miałam bajeta. I tak trochę zdawałam, trochę chodziłam na zajęcia, wykłady. Dlaczego o tym wspominałam? Bo często jeździł też do Lwowa mój kierownik.

Ja wiedziałam, że on jest gdzieś i on wiedział, że ja jestem gdzieś. Ale to było ... Ja szanowałam jego, on szanował mnie, w ogóle na te tematy, nazwijmy to polityczne, czy narodowościowe mało się w tym środowisku mówiło. Obserwowało się różne rzeczy i nikt z tego nie robił żadnej sprawy. Jeszcze spotkałam bardzo przyjemną rzecz, bo żona księdza grekokatolickiego też uczyła w szkole. Też jakimś cudem dostała te prace, choć z jakimiś kłopotami i ponieważ wiedziała, że jest zimno i głodno i chłodno, więc zaprosiła mnie na kolację. Codziennie byłam u nich, u księdza na kolacji. Ta kolacja była codziennie taka sama. Były ziemniaki duszone, świeże, gorące, jakos tam omaszczone chyba, i kwaśne mleko. A ksiądz dostawał dwa razy w tygodniu jajko do tego. Taką kolację jedliśmy wszyscy - i ksiądz i jego żona. Dzieci oni nie mieli, był parobek, była dziewczyna, jeszcze chyba ktoś i też jedli taką samą kolację. Ale byłam szczęśliwa, że już mogę coś zjeść.

Młodzi było strasznie dużo. I polska młodzież była i ukraińska młodzież i rosyjska młodzież i żydowska. Był tłok niesamowity. Do tego egzaminu z historii to w kolejce dosyć długoj stałam. I nawet pamiętam o co mnie pytano - o sprawy agrarne, w Rzymie. Zdawałam po polsku u jakiegoś asystenta. Uniwersytet nie był zniszczony, wszystko było starannie utrzymane, wszystko było bardzo ładne. Na wykładach była dosyć duża frekwencja. Na tym moim rosyjskim zaocznym też było dużo młodzieży, było dosyć dużo Polaków. Wszyscy, jak to się mówi przejmowali się studiami. Pamiętam zdawałam teorię literatury u profesora, Rosjanina, liczyłam na to, że będzie ten egzamin dla mnie łatwiejszy, tymczasem po prostu nie byłam dobrze przygotowana, bo nie miałam czasu. Ale później doszłam do wniosku, że trzeba się uczyć i trzeba zrobić porządki.

Dużo miał wiedzy, dużo wiedzy i dużo biegłość. Bardzo był uprzejmy, nie było żadnych jakichś tam szykan, niczego, tak że można było odczuć, że się studiuje naprawdę. Wiem, że wszystkie zajęcia nie odbywały się na uniwersytecie, nie wiem dlaczego. Np. teorie literatury zdawałam w jakimś pomieszczeniu przy ul. Rutkowskiego, tam chyba on prowadził ćwiczenia.

Jeżeli chodzi o jakies życie polityczne, to nie odczuwano się działalności tego typu. Jeżeli chodzi o sprawy zaangażowania się konspiracyjnego - ponieważ od 1931 roku byłam harcerką, cały czas okupacji rosyjskiej byłam w luznych kontaktach z moją drużynową we Lwowie, z Marysią Skierską, która do tej pory jest we Lwowie i z innymi młodszymi harcerkami. Zastanawialiśmy się nad tym, co będzie dalej, co mamy robić. Przekazywaliśmy sobie książki - historie. Specjalnych zebrań nie miałyśmy, bo nie było jak. Ja miałam mało czasu, dlatego, że ciągle musiałam ze Lwowa wracać na teren Wodnik, gdzie miałam to swoje lokum. Niektóre z nas kontaktowały się z ludźmi, którym pomagały. I starszym, i samotnym młodym chłopcom, którzy ciągle wędrowali gdzieś poza teren wschodni po to, żeby się dostać na Zachód.

Przeżyłam bardzo i cały mój dom, gdy przyszła z Rawy Ruskiej wiadomość, że mój brat jest aresztowany i że będzie miał rozprawę w sądzie w Charkowie. Oczywiście on nie był sam. Była cała grupa. Posyłaliśmy paczki do nich. Wysyłanie paczek to nie była prosta sprawa, dlatego, że we Lwowie i w Bóbrce paczek nie przyjmowano. Przyjmowano paczki tylko w Kolomyi. Jak to więc robiłam. Oczywiście podstawowe rzeczy trzeba było wysłać. Jakas bielizna, jakis chleb, czy jakis czosnek, cebule, w każdym razie rzeczy bardzo podstawowe. Pamiętam, że z czarnej mski upiekłam chleb. Do tego chleba dałam kilka jaj i dałam

kawałek masła, czy innego tłuszczu, żeby ten chleb miał jakąś wartość. O tym, żeby samą pojechać do Kolomyi - mowy nie było, bo przecież pracowałam. Wobec tego znalazłam taką kobietę, nie pamiętam, czy to była Polka, czy Ukrainka, ale uczciwa, której zapłaciłam za to, że chciała tę paczkę wziąć i posłać w Kolomyi. Zapłaciłam jej drogę i zapłaciłam jednocześnie za jej pracę. Ona chyba czekała dwa dni w Kolomyi po to, żeby tę paczkę nadać do tego Charkowa. Oczywiście brat tę paczkę dostał. Później, jak się z nim spotkałam już po wszystkim nie mogł tego zrozumieć, dlaczego ja tę paczkę, jedną czy dwie (więcej nie posłałam, bo nie było jak), miałam wysłać z Kolomyi.

Jeżeli chodzi o kontakty z władzami radzieckimi - nie miałam specjalnych kłopotów. Szefowa wydziału oświaty, która przyszła po tym Ukraincu panu Diwnyczu, który został zwolniony (bo później wszystkie władze ukraińskie zostały zwolnione i objęły wszystko władze radzieckie) wszystko byli Rosjanie przyjezdni). Pamiętam i bardzo żałuję że tego nie zabrałam - jak odchodzili Rosjanie byłam wtedy w wydziale, po coś tam poszłam do tego wydziału oświaty, który już nie istniał. Było pełno papierów i znalazłam tam taki skrypt, czy książkę, nie wiem jak to nazwać. Był on wydany w Rosji w 1936 r. i tam były wszystkie nazwiska, kto czym się miał zająć na terenie zajętym. i m.in. oczywiście szukałam Bobrki, znalazłam Bobrke i miałam tam cały stos nazwisk tamtej rady powiatowej, jakiejs tam jeszcze innej i sądu i m.in. oświaty. I wtedy oświatę objęła w Bobrce pani Harbuzowa, nie pamiętam jej imienia. Zawsze w niesamowity sposób krzyczała na wszystkich konferencjach "zgnila Polka".

Prowadziłam w tych swoich Wodnikach i chor i prowadziłam jakieś tance z dziećmi. Dzieci przychodziły bardzo chętnie.

Ja starałam się wyglądać jako tako ubrana i uczesana i dzieci lubiły patrzeć, jak ja szłam do szkoły. O, już pani Konopelska poszła, to znaczy że już trzeba iść do szkoły. Było to raczej wszystko bardzo staranne.

W lutym 1940 r. byłam w szkole wieczorem i miałam próbę chóru. Dziewczeta i chłopcy śpiewali bardzo ładnie, ja bardzo lubiłam słuchać. Miałam nawet większą przyjemność słuchać ich śpiewu niż z tego, co ja tam uczyłam. Ja specjalistka nie byłam, ale jako harcerka śpiewałam zupełnie poprawnie. Każde osiedle, czy część osiedla miała zawsze swego opiekuna, enkawudzistę. Taki był pan w średnim wieku, może 45 - pod pięćdziesiątkę, bardzo skromnie ubrany, bardzo skromny, bardzo mało mówiący, no, taki opiekun. Nie pamiętam też jego nazwiska. On przyszedł na ten chór i siedział i słuchał, uśmiechał się i kiwał głową. Ciągłe zapraszał nas, żeby jeszcze śpiewać i jeszcze śpiewać. A już było dosyć późno. W lutym godzina 9 wieczorem, to poważna rzecz. Kierownik szkoły był też i byli jakiś starsi ludzie w klasie - czy tam palili papierosy, rozmawiali, nie wiem, co tam było. Gdzieś koło godziny 10 ja mówię, że muszę już iść do domu, bo ja później sama nie zajdę, bo się boję. Na to kierownik mówi, że mnie odprowadzi. No, to dobrze. Ten enkawudzista został w szkole, młodzież się chyba rozeszła, ja nie wiem, czy ci starsi ludzie zostali, czy nie. Gdzieś mnie tam pod domem zostawił i poszłam. Naraz. około godziny 2 w nocy ktoś puka do mego okna. Ja oczywiście zrywam się, pytam się. Jest to kierownik. Mówi - wstawaj, szybko się ubieraj, idź do szkoły, zapal pod kuchnią w piecu, bo tam jest pełno ludzi. Tyle było mówienia. Ja oczywiście zdenerwowana ubrałam się no i poszłam do szkoły. Otwieram, a przy drzwiach szkolnych już stał z karabinem w jakiejś ciepłej odzieży, w takiej ich

czapce, jakieś enkawudzista. Jakos mnie puscil do tej szkoły, ja otwieram drzwi jednej z sal i naraz niesamowity krzyk: pani Konopalska, pani Konopalska, co sie dzieje, co to sie stalo, co to bedzie! M.in. wolala pani Swoboda, to byla zona gajowego w lasach sasiednich. Ona byla z cala rodzina, byly male dzieci, straszny placz, straszny lament, ona byla w jakimś niedznym bardzo okryciu wierzchnim, a na nogach miala dziurawe buty, z ktorych wystawal wiechec slomy. Chyba w takich butach chodzila do bydla. Moze bylo troje dzieci - w kazdym badz razie dosyc duzo tych dzieci bylo. Zabralam sie rzeczywiscie do roboty, zapalilam w piecu, a poniewaz w jednej salce byla kuchnia zapalilam tam tez, postawilam czajnik z woda, po to, zeby zrobic cos goracego, jakas herbate. To akurat trwalo, zanim zaczelo juz dnisc. Oczywiscie ludzie przyjezdziali, cbraz wiecej tych ludzi bylo. Poniewaz robilam te herbate (nie pamietam, czy to byla herбата, czy tylko woda goraca) - poszlam do kooperatywy i tam kupilam 25 deka cukru, ktore byly zawiniete w kartke z zeczytu. Pamietam, ze kilka razy chodzilam po ten cukier, chociaz to zdaje sie bylo nie wiem czy na kartki, czy nie moznalo dostac, to sprzedawczyni, Ukrainka w sklepie nie robila zadnych trudnosc. Dawala tego cukru tyle, ile razy ja poszlam. Gdzies wokolnicy poludnia juz przestali ludzie przyjezdzac. Zjawil sie tez kierownik szkoły, bardzo zdenerwowany. Zrozatal wszyscy ludzie, ktorzy tam byli, i ci ktorzy byli przygotowani na wywoz i ci, ktorzy tam przychodzili, nie wiem w jakich sprawach, byli bardzo niespokojni, bardzo zdenerwowani. Gdzies kolo godziny 2 po poludniu zajechalo przed szkole kilka san. Takie niskie sanie chlopskie, z jakimis siedzeniami, ze sloma, no przewaznie byly takie bardzo skromne, z jakimis derkami. Na te sanie wsiadaly kolejne

rodziny. Oczywiście byli pilnowani przez takich dwóch czy trzech rosyjskich molojcow. Czas koło trzeciej po południu ten transport 8 albo 9 san, mnie się wydaje, że było wywiezionych koło 10 rodzin polskich. Na każdym saniach było z 6-7 osób, mogło być do 30 do 50 osób. Oczywiście płacz na ulicy niesamowity. Szosa prowadziła pod górę, nie była to wielka góra. Wszyscy ci ludzie mieli odjechać do Starogo Siola do wagonów. Pamiętam, jak już wszyscy siedzieli na tych saniach, to tylko byli ci, którzy powozili konie i była ta służba rosyjska. Nikogo z ludzi nie było. Nie wiem, gdzie był dyrektor szkoły, gdzie ja, w każdym bądź razie jak stałam na tej szosie, śnieg zaczął padać dużymi płatami. Człowiek zaczął płakać i wtedy przypomniałam sobie Grottgera. Powiedziałam - Grottger, prawdziwy Grottger! Tyle na temat tego.

Obok mego domu w Bobrze aresztowano policjanta (nie pamiętam, jak się nazywał ten pan). Gdzie go zabrano - nie wiem. Później wywozono rodziny tych, których aresztowano. To w większej sili była służba policyjna, ci, którzy kupili ziemię parcelowaną po folwarkach. Wywiezli taką jedną rodzinę, która kupiła sobie ziemię gdzieś w Jozopolu, ja nie wiem, czy ja dobrze mówię, chyba tak - ich wywiezli wszystkich, całą rodzinę. To było chyba sześcioro dzieci i rodzice. Później wywozono żony, dzieci tych policjantów na Sybir: wywiezli osoby o nazwiskach: Jakubowski, Rozalia Kubas, trudno mi sobie w tej chwili przypomnieć nazwiska.

W tych Wodnikach byłam tylko chyba do lutego 1940r. Wezwano mnie do wydziału oświaty i powiedziano mi, że ponieważ została wywieziona kierowniczka szkoły polskiej z Wołowego, a wszyscy wiedzieli, że jestem Polką i uważano, że dam sobie radę z kierownictwem szkoły, więc wobec tego zaproponowano

mi kierownictwo szkoły w Wołowym - szkoły polskiej. Oczywiście
wzielałam bardzo chętnie, po prostu żeby być bliżej domu, no a po-
zatem wolałam pracować z Polakami niż z Ukraińcami. Wodniki
nie chciały mnie puścić, nawet przedstawiciele rodziców cho-
dzili do wydziału oświaty, abym w Wodnikach została. Ale
pani Harbuzowa, szefowa wydziału oświaty nie przyjęła tego.
Ja byłam bardzo zadowolona z tego, bo byłam w szkole polskiej.
Mój ojciec dał mi też kontakty w tym Wołowym, bo też był tam
jakiś folwark, a w tym folwarku stała jednostka radziecka.
Ta jednostka radziecka podobno zachowywała się bardzo przyzwo-
icie, ludzie nie mieli żadnych historii. Wręcz odwrotnie,
wyożuli jakąś opiekę nad sobą przed różnymi wybuchami Ukra-
ińców.

Tam robiłam co mogłam - i uczyłam i śpiewałam, co się dało.
Najczęściej nie spałam tam - w tej szkole było mieszkanie dla
nauczycielki, ale korzystałam z tego bardzo rzadko. Po prostu
nie chciałam być sama. I znowu bardzo często szłam tych 12 km
do domu po to, aby rano wstać i iść z powrotem. Czasami mnie
odwoził ojciec, ale bardzo rzadko. Nie chciałam ojca po prostu
męczyć tymi sprawami. Tam też nie byłam długo, bo nie wiem, co
to się stało, że proponowano mi znowu szkołę w Chlebowicach.
Tu była szkoła niepełna średnia, a poprzednia była podstawowa.
We wrześniu 1940 r. objełam kierownictwo szkoły w Chlebowicach
i byłam tam do wybuchu wojny z Niemcami, do 1941 roku.

To była bardzo długa wieś, taka ulicówka. Ciągnęła się
przez kilka kilometrów. Polaków tam było niewiele, był bardzo
ładny kościółek, był młody, przyjemny ksiądz, który został
zamordowany przez Ukraińców, już później.

Ukraińcy na terenie, który jest mi znany mieli postawy
różne. Ale swoich postaw nie wyjawiali na zewnątrz.

Byli tacy, którzy mieli podejście niespokojne. Z chciwła, kiedy zastąpili Ukraińców Rosjanie - wtedy bali się różnych represji i aresztowań. Wiem, że na tym terenie moim były aresztowania, ale nie było ich dużo, były już takich bardzo znanych ludzi. Wyglądało na to, że oni są aresztowani na skutek donosów. Czy te donosy były robione ze strony polskiej? Chyba nie. Może ze strony żydowskiej, a może ze strony innych Ukraińców. Bo byli tacy, którzy byli zaangażowani w tajne życie konspiracyjne, ale byli tacy, których to nie nie obchodziło. Uważali tylko, że jak im będzie niezłe, to im jest wszystko jedno, jaka jest władza. Takie czasami padały słowa, że już dobrze, że nie ma Polski. Ale byli też tacy, znam takiego pana, który nazywał się Alfawicki, który był chory, ale był bardzo czytany. Należał do Proświty razem ze swoją córką. Przychodził on przychodził dosyć często do nas do domu i uspokajał nas, mówił - tak nie będzie. Będzie inaczej, musi być inaczej. No i czy to było dużo, czy mało nie potrafię powiedzieć, w każdym razie jakichś szerokich dyskusji, nie było. Na tych mitingach, w których ludzie brali udział, to raczej było słuchanie, a nie wypowiedzenie się. Bali się ludzie kolchozów, jakiejś kolektywizacji. Na tym terenie w tym czasie kolektywizacji nie było. Ludzie pracowali, zdawali kontyngenty, żeby nikt się ich nie czepiał.

Nastroj był przygnębiający. Nikt się nie cieszył, nikt się nie śmiał. Ja czasami byłam tak przygnębiona, właściwie przez cały czas, że nie pamiętam, czy się kiedyś śmiałam. Po prostu cały czas był niepokój. Trzeba było uważać - i na ulicy i w pociągu ... Nie chodziło się, ani do żadnego kina ... Wszędzie na ulicy było pełno propagandy, ale nikt się na to nie patrzył. Czasami między rodzinami polskimi a rosyjskimi występowały,

nie wiem czy to można nazwać niemi przyjacieli, jakiegos porozumienia. Ja pamiętam, poszłam do sklepu i był smalec. Zdaje się, że ten smalec był tylko dla Ruskich. No, jak mi nie dała ekspedientka, no to nie. A na to Rosjanka jakaś, która była w sklepie powiada "no daj jej tego masła, daj jej tego masła!" No i dostałam tego smalcu nie wiem ile tego było, 10 czy 15 deka

We Lwowie, z tego co mi się zdaje, co pamiętam z moich dojazdów - to raczej może było takie jakieś życie, czy ja wiem, czy to można powiedzieć - towarzyskie... Była taka restauracja "Kijów" w której czasami jadłam jakieś posiłek, to była zawsze pełna. Była starannie utrzymana, posiłki były niezłe, byli tam Rosjanie i byli Polacy. Czy byli Ukraińcy - nie potrafię tego powiedzieć.

Najbardziej odczuwała to młodzież. Po prostu nie wiadomo było, co za robić, czym się zająć, co ich czeka. W każdym razie chłopcy myśleli cały czas o wojsku polskim. Ta grupa, z którą miałam kontakty. Dużo młodzieży się uczyło, mimo wszystko. Czytali historie, nawet wiem, że były takie sytuacje, że rozrywali sobie książki na kilka części i korzystali. Starsi, tak np. jak moi rodzice, cały czas porównywali dlaczego jest taki niepokój w Europie, dlaczego jest tyle zła, przecież za Austrii było tak wspaniale. Żyli sobie spokojnie Ukraińcy i Polacy, i Żydzi i było wszystko dobrze. Polacy świętowali te zasadnicze święta ukraińskie, a Ukraińcy zasadnicze święta polskie. Odbywało się u Żydów tak samo, obchodzili te swoje święta bardzo uroczystie.

W czerwcu 1941 r. byłam w Chlebowicach. To chyba był już koniec roku, ale ja jeszcze coś tam robiłam. W pewnym momencie gospodyni, u której mieszkalam powiada mi, że Niemcy idą. Ale na wsi był spokój. Ludzie byli zajęci pracą na polu.

Uslyszalam jakies samoloty. Gospodyni moja tez mowi - nie wiadomo, kto to leci, czy nasi, czy inni. Zaczely sie zarty na ten temat. Ale ja juz nie moglam dojsc do mojej Bobrki szosa, ktora jezdzilam 7 km do pociagu, tylko musialam isc polem. Nie bardzo znalam droga polem, ale jakos do tego domu doszlam. Niesamowita panika w Bobrcu. Niesamowita panika ! Kto zywi, czym i jak - jechali wezyscy w rozne strony. Wozami roznyimi nedznyymi, wiakszymi, mniejszymi jechali do stacji Chlebowice Rosjanie. Jechali na Przewislany i jechali jeszcze w trzdecim kierunku, tak jak na Podwanasce. Tak ze momentalnie, w ciagu dwoch dni nie bylo ani jednego Rosjanina, w Bobrcu. Wzyscy przerazili sie tego, ze jest bezholowie. Wtedy powolano taka obywatelska straz. Byli w niej i Polacy i Ukraincy, oczywiscie starsi ludzie. Chodzili po ulicy, aby cos sie nie stalo. Byly naloty. Byly tez bombardowania. Mysmy z domu uciekli, tz. ojciec, brat i ja do takiej wsi Kanow. To byla wies ukrainska, bylo tam kilka rodzin ukrainskich. Cos wzielismy z soba do jedzenia - jakie kawalek chleba, jakiejs kaszy troche. Bylismy kilka dni. Wtedy przez te wies tyraliera uciekali zolnierze rosyjscy. Pamietam jednego zolnierza, ktory biegl z oberwanym calym ramieniem. Taka straszna zawierucha trwala na tym terenie kilka dni. Jak juz odeszli Rosjanie zapalnie, naturalnie Niemcy byli juz na naszym terenie, myemy wrocili z tych Kanow. Zobaczyliemy cale podworze Niemcow u siebie. Myli sie i robili, co im bylo potrzeba.

Z moich odczuc i tego, co obserwowalam wyglada na to, ze Ukraincy po prostu cieszyli sie tym, ze przyezli Niemcy. Pamietam taka sprawe, ze na tych Kanach poszlam do domu ksiadza unickiego, ktory mial za zone sasiadke naszego domu.

Ona w pewnym momencie mówi do mnie, że mi coś bardzo ciekawego pokaze. To była bardzo dostojna pani. Prowadzi mnie do sypialni, gdzie stały dwa łozka, jak tradycja kazala, a nad łozkami po srodku - swastyka niemiecka i tryzub. Ja nie zapomnia tego, bo przeraziłam sie, ale nie chciałam jej tego przerazenia pokazać. Chyba powiedziałam, że ładnie zrobiona. Tak sobie pomyślałam - jej może osoba bądź co bądź na poziomie tak myśleć! Oni mieli dwóch synów, tak to wyglądało, że chyba później zostali oni aresztowani przez władze radzieckie.

Wszyscy Polacy cieszyli się, że już nie ma Roskich. Dlatego, że bali się tych wszystkich represji, które odczuli na sobie. Pod koniec pobytu Roskich u nas - były aresztowania. Było dość dużo aresztowań. Były łapanki, aresztowani byli Ukraińcy, nie Polacy, bo tych już prawie nie było. Żydzi chyba też nie, tylko Ukraińcy. Wiem, że doprowadzano różnych Ukraińców do więzienia w Bobrcu, koło sadu, za górą, to się chyba nazywała ul. 3 Maja, ale nie pamiętam. Tam tych więźniów umieszczano. A tuż przed odejściem Rosjan szukano bardzo na mojej ul. Kopernika, czy tym nieszczęsnym Zamłynie pana Stanisława Kozakiewicza. To był Ukraińiec, ale z rodziny mieszanej. Część rodziny była polska, bardzo patriotyczna, a część rodziny była ukraińska. To była duża rodzina, bogata na ówczesne czasy. Enkawudziści przeszukali wszystkie strychy i znaleźli pana Stanisława Kozakiewicza w sianie nad jakimś szopa. Oczywiście potem go zabrali on i razem z nim, tak jak mówili, ludzie, wrzucono ich do beczek z kwasem solnym żywych. Później był pogrzeb tych ludzi 9 czy 10. Zwłoki znaleziono w tym więzieniu w tych beczkach, czy w jednej beczce - tak mówili ludzie. Tak mówiła mi też siostra tego pana Kozakiewicza. Potem, jak przyszli Niemcy, był pogrzeb tych ludzi. Ja na tym pogrzebie

nie byłam, bo nie wytrzymałabym tego wszystkiego.

Z końcem czerwca byłam na wsi w Chlebowicach Wielkich, bo tam prowadziłam szkołę. Wybierałam się pieszo do domu i po drodze ludzie mi powiedzieli, że już Niemcy wkroczyli na nasze tereny. W domu zastałam jaki taki spokój. Ale w pewnym momencie mama szła po wodę i narobiła krzyku - wolała na nas, tzn. na mnie, brata i ojca, abysmy się natychmiast chowali, bo zaraz będzie bombardowanie. I rzeczywiście, myśmy nie zdążyli dobiec do piwnic. Myśmy we trojkę z mamą schowali się w piwnicy, a ojciec zasnął w stodole. Drzwi od stodoły wpadły, bo takie silne było uderzenie. Padły bomby na naszym ogrodzie. Wtedy to moje miasteczko Bóbrka w wielu miejscach zaczęło się palić. Bombardowanie było bardzo silne. W sąsiedztwie też, po drugiej stronie ulicy Kopernika też padły bomby. Zaczęły takie chodzić wersje, jak już po bombardowaniu ludzie zaczęli ze sobą rozmawiać (te trochę smieszne), że padły bomby tam, w którym domostwie był jakiś grzech.cieżli. Oczywiście dachowki poleciały, szyby poleciały, no tak jak w bombardowaniu i do, rana jakos wytrzymałyśmy w domu. Już zaczęli przyjeżdżać na samochodach ciężarowych Niemcy. Doszliśmy do wniosku, że musimy uciekać z Bobrki. We trojkę (bez mamy, mama została w domu) uciekliśmy na tzw. wieś Łany. Tam było dużo Ukraińców, naszych znajomych, sąsiadów i innych. Rozmowy były takie, że wszyscy zadowoleni byli bardzo że Niemcy przyszli. W kołach bardziej ukraińskich była rozmowa taka, której myśmy raczej unikali. Myśmy siedzieli po katach, czy w sadzie. Wzieliśmy ze sobą trochę jedzenia, ale niewiele, bo niewiele było. Ludzie ci dzielili się z nami. Tam byliśmy chyba jakieś 2 albo 3 dni. Przez wieś Łany uciekało tyralierka wojsko rosyjskie. Chłopcy uciekali w podartych mundurach, głodni.

ale cały czas uciekali w tamta stronę.

Tego dnia jak było bombardowanie w Bobrcu po południu, to rano została zastrzelona, chyba strzałem z samolotu, czy nie wiem skąd osoba, niejaka pani Zofia Budnicka, siostra mojej krawcowej. I to też było takim powodem do niepokoju, że już coś się zaczęło.

Wraciliśmy chyba trzeciego dnia rano do domu. I co zasta-
liśmy - oczywiście ani jednej szyby, dachówka na podwórzu.
Na podwórzu było pełno już Niemców. Myli się, golili, przygoto-
wywali śniadania. Oczywiście przywitaliśmy ich po niemiecku
i byliśmy zadowoleni, odczuliśmy pewnego rodzaju ulgę, że
już tamto się skończyło. Bo się zaczęło, to myśmy nie zdawali
sobie z tego sprawy, bo bardzo te dni były ciężkie.

Niemcy ustanawiali już swoją władzę, kwatery, pytali się
nas o różne sprawy, jak to było jak Rosjanie odchodzili...
Nie sprawiali żadnego kłopotu. My wszyscy podziwialiśmy porządek
czystość, misterna pudełeczka z masłem i z czym tam jeszcze i
pasty do zębów i szczoteczki. Moją ojciec, który był w armii
austriackiej mówił mi - zobacz, jak wygląda porządek!

Z początku władze były ustosunkowane przychylnie. Robiły
jakis ład, uruchamiały co się dało uruchomić, specjalnych kło-
potów nie było.

Ja doszłam do wniosku, że nie mam co robić w tym małym
miasteczku, a ponieważ byłam cały czas związana ze Lwowem,
już od 12 lat ciągle siedziałam w tym miesci, więc pojechałam
do Lwowa, aby nawiązać jakis kontakt, zadzać jakas pracę.
Wiem, że uruchamiali wtedy Niemcy szkoły polskie. Ja dzięki
znajomej swojej, pani profesor Corbaczowskiej Janinie dostałam
się do szkoły na Sygniówce. Uczylam tam bardzo krótko, nawet
nie wiem dlaczego. Czy ona została rozwiązana, czy nie było

odpowiedniej ilości dzieci, w każdym razie coś się stało. Wtedy nawiązałam już kontakty z Szarymi Szeregami, ze starymi znajomymi i wszłam do pracy konspiracyjnej.

Nie miałam gdzie mieszkać, zgłosiłam się więc do Nazaretu, którego byłam wychowanka i tam siostry mnie przygarnęły. Spałam w jakimś pokoiku, siostry spały za parawanami, a ja spałam oddzielnie.

Zgłosiłam się na punkt konsultacyjny i tam powiedziano mi, co ja mam robić. Miałam na terenie trzech województw organizować sztafety dla Armii Krajowej. Było to województwo lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie.

W tej pracy pozostawiono mi całkowitą samodzielność. Miałamjechać np. Lwów-Przemysł i po drodze miałam ustalać punkty sztafetowe. To była sprawa bardzo trudna, bo przecież ja niewiele znalazłam ludzi. Staralam się najpierw spośród znajomych uzyskać jakieś takie kontakty po to, żeby gdzieś się zoczyć. Nawet mi się to dość udawało. Większość czasu spędzałam w terenie. Albo szłam pieszo, albo jakimś przygodnym autobusem, albo jechałam pociągiem. Więc np. jeżeli chodzi o linie przemyskie, to dotarłam w Przemyśle do druhny Janiny Brysionej. Ona była hufcowa na terenie Przemysła i może, zdaje mi się, na terenie całej Ziemi Przemyskiej. Od niej też otrzymałam parę nazwisk, parę adresów w kierunku na Lwów, tak że mogłam dotrzeć do Moscisk, do Sadowej Wiszni, do Grodka Jagiellońskiego. Kto był w Grodku Jagiellońskim - był ks. Jan Smutek. W sadowej Wiszni nie mogłam nikogo znaleźć. Wszłam do klasztoru, tam były chyba benedyktynki, ale też nie mogłam tam skontaktować się z nikim, po prostu nie istniał punkt w Sadowej Wiszni, a był w Mosciskach. Nie pamiętam w tej chwili nazwiska.

Tak samo pracowałam cały czas na liniach Lwów - Stryj.

Lwów - Stanisławów, Lwów - Tarnopol, Lwów - Jaworów, Lwów - Sambor. Takie były moje jeżdżenia. Kto przeważnie był na punktach przechwytywych? Były dawne harcerki, były młodsza, księżka, i czasami byli żołnierze Armii Krajowej. Ale miałam polecenie, aby raczej do tej pracy nie angażować żołnierzy, bo ich rola jest zupełnie inna.

Jak już miałam gotowy linie sztafetowa, to wtedy zgłaszałam swoim władzom i szedł meldunek próbny. Było tak, że czasami ten meldunek próbny gdzieś ugrzeził. Musiałam iść do tego punktu i sprawdzić, co było przyczyną tego, że nie dotarł rozkaz, wiadomość, czy polecenie, bron czy jakieś pieniądze, czy coś innego. Moje jeżdżenie od wczesnej jesieni 1941 r., był to jakieś 10-14 października trwało aż do 1944 r. włącznie. Cały czas byłam na tych liniach sztafetowych. Jeżeli była jakaś sprawa pilna, np. trzeba było dotrzeć do Siemianówki, to musiałam jechać do Siemianówki natychmiast, nie opierając się na tym, kto tak będzie po drodze podawał polecenie czy rozkaz. Oczywiście było najpierw podane hasło, odzew - tak normalnie, jak działa się w warunkach wojennych czy wojskowych.

Przypominam sobie bardzo ciekawy adres i kontakt w Drohobyczu. Nie mogłam do tego Drohobycza dojechać. Pojechałam jakimś autem ciężarowym, na jakichś siatkach na wierzchu. Djechalismy do Mikolajowa-Drohowyża. Coś się tam popsulo w tym aucie, wobec czego trzeba było wysiadać. Było to w nocy i nie wiadomo było jak i ktoready. W jakimś zajezdzie ludzie zatrzymali się, ja razem z nimi. Później poszłam pieszo jakieś kawal, a później wsiadłam znów do jakiegoś samochodu i dojechałam do Drohobycza. Miałam adres - ulicę, numer, chyba to było I piętro. Jak zapukam - to odezwie się pies, a jak mi otworzą, to pokaże się złoty pies w białe łaki. No i rzeczywiście tak było.

Znaercem nie wiem gdzie zapukalam do tych drzwi, otworzyla mi pani i ukazal sie piekny zolty piecsek rzeczywiscie w biale luty. Zrobilo mi sie lzej, ze dotarlam i przekaże wszystko, co mam przekazywac własnbiwym osobom. Ale nie wiem czy byl potrzebny taki dziwny adres, bo jak weszlam poproszono mnie, abym sie troche polozyla i odeapnela, a na scianach wisialy obrazy komunijne, na ktorych byly nazwiska. Ale na to nie zwracalam uwagi tylko powiedzialam, ze to byla skomplikowana sytuacja, bardzo trudna.

Poza swoja prace w ogganizowaniu sztafet nalezalam do Szarych Szeregow. Hufcowa Szarych Szeregow byla wtady druhna Wanda Tomaszewska, ktora prowadzila normalnie hufiec. Normalnie dzialalaly druzyny, oczywiscie one liczebnie byly mniejsze. Odbynalyysie zbierki druzynowych, tak jakby nic sie nie dzialo. Pamietam taka jedna zbiorke, ktora byla przy ul. Kraszewskiego na przeciw Ogrodu Jezuitckiego. Tam mieszkala druhna Wanda Tomaszewska. To byl chyba 1942 rok. Byla wtady lapanka w miescie. Ja uwazalam, ze to wcale mi nie przeszkadza w tym, aby dotrzec na miejsce zbiorkei. Jakos dotarlam i akurat po ul. Kraszewskiego chodzil patrol gestapo. Oczywiscie w tych ciezkich butach, slychac bylo bylo ich lomot. Zatrzymalam sie gdzieś w parku pod drzewem i jak oni przeeszli kolo bramy, gdzie mieszkala pani Janina Tomaszewska, to ja natychmiast weszlam na gora. Chyba bylo 5 minut po czasie, druhna Wanda powiedziala mi z takim zgrzytem "o, spoznilas sie troche Zbciu !" Oczywiedie nie bylo czasu, zeby jej mowic, ze musialam przekuc. Prowadzila zbiorke jakby nic sie nie dzialo. Pamietam tematem zbiorkei byla kultura nasza - obrazy, budynki Lwowa i na terenie okolic. Miala do tego bardzo duzo materialu, duzo ksiazek, duzo roznych wycinkow, duzo kartek roznegu typu. Mysmy mieli polecenie

było nas chyba 7 czy 8 na tej zbiorce, mieliśmy to uporządkować regionami. A więc tematyka zupełnie nie związana z tym, co się działo za drzwiami.

Inna taka sprawa przypominam sobie, jak to było obchodzona rocznica, nie pamiętam która, 11 listopada. Bo też trochę byłam zajęta organizowaniem tajnego nauczania. Tajne nauczanie, to liceum z którym byłam związana, prowadzone było przez panią, Stefanię Stypał, družinę, była komendantką bhoragwi lwowskiej. Oczywiście młodzież uroczyście ubrana, w to co miała, zbierała się w mieszkaniu u pani Stypał. Pamiętam naszego orla przepasanego czarną wstęgą, świecę zapaloną. Przygotowany był program, recytacje, fragment historyczny i śpiewy. Ja wtedy byłam na obstawie. Ja byłam na klatce schodowej, a dozorca tej kamienicy przy ul. Sowńskiego był na dworze. W pewnym momencie, zanim ja jeszcze wyzłazłam + ktoś pukał do drzwi. Ja stałam przy drzwiach. Młodzież cała nie wiedziała co się dzieje, bo po co zdenerwowanie, nie wiadomo, jakie byłyby jej reakcje. Ktoś drugi raz pukał - ja też nie. W pewnej chwili ustało pukanie i ja słyszę, że się ten ktoś osuwa po drzwiach na podłogę. I słyszę, że po schodach idzie ktoś drugi. Co się okazuje - że dozorca nie mógł zatrzymać tego Niemca, który był w stanie podchmielonym. Wszedł zupełnie chyba przypadkowo do tej właśnie kamienicy i pukał do tych drzwi. Dozorca podejść do niego i jakos sciągnął go na dół, żeby go unieszkodliwić. Dopiero po całej uroczystości, po całej akademii powiedziała, co zaszło.

Młodzież, jeżeli chodzi o tajne nauczanie, była bardzo dobra. Właściwie w tym liceum, w którym współpracowałam z panią Stypał, nie było żadnej wspany ze strony młodzieży. Było dużo młodzieży. Widać, że w sumie było ponad 100 matur.

Nauczycieli było dużo, lekcje odbywały się po domach, grupy były 7-8 osobowe i 11 osobowe, 12 osobowe. Mój brat kończył to liceum i zdawał maturę konspiracyjną. W Łwowie, ja pracowałam jako taki organizator. Trzeba było zrobić podział godzin, trzeba było roznieść ten podział godzin, zanieść ludziom pieniądze, ustalić jakieś zmiany. Np. sytuacja była taka, że nie było w kamienicy niewłaściwego, trzeba było zmienić teren. Było dosyć dużo roboty, aby tajne nauczanie szło normalnie, bo to szkoła była normalna.

W tej grupie nauczycielka była np. pani profesor Rychlewska, uczyła łaciny wtedy. Grupa była bardzo chętna, a młodzież się bardzo uczyła. Nawet jak nie było książek, tośmy darli książki na kawałki i kolejno dawano się te książki innym.

Nauka toczyła się w różnym czasie i różnych grupach. Były grupy i popołudniowe i ranne. Mase pracy koordynowało, aby zgrać te grupy, ażeby to wszystko szło normalnie. Ale młodzież miała też świadomość, że ma normalną, porządną szkołę. Ilość godzin było tyle, ile przewidywał program, np. były 2 godziny historii, były tam 3 czy 4 godziny polskiego, ileś tam matematyki, tak że tego wszystkiego było dużo. To nie było tak, jak to się mówi - aby tylko odwalic, tylko żeby rzeczywiście się młodzież czegoś nauczyła. Jednak jak już była grupa większa, dzieliło się ją na dwie grupy.

W 1941 roku dowiedziałam się, że jest tajny uniwersytet polski w Łwowie. Nie wiem, kiedy zaczął swoją działalność, ale w jesieni zgłosiłam się na humanistycę, na swój wydział psychologiczno-pedagogiczny. Wykłady były po domach, dużo czasu było w domach profesorów. Np. logikę prowadził prof. Kazimierz Ajdukiewicz. Filozofię prowadziła pani prof. Izydora Domska. Wykłady faj, zajęcia i ćwiczenia odbywały się w Ossolineum.

gdzieś za regalami w magazynie. Pedagogikę wykładał prof. Kazimierz Ścicki w swoim domu na Yyczakowie. Była taka swoboda, przeważnie zajęcia w okresie letnim, wiosennym w ogrodzie przy stole, gdzie siedziało kilka, kilkanaście osób i profesor spokojnie, jakby nic się nie działo, prowadził ćwiczenia czy wykłady. Historię wychowania wykładał profesor, wtedy asystent jeszcze Antoni Klot. Psychologię prowadził obecny profesor a wtedy asystent dr Tadeusz Tomaszewski. Zajęcia były bardzo przyjemne, dla nas to była po prostu uczta duchowa, bo z konieczności musieliśmy być zajęci tematami poszczególnych ćwiczeń i wykładów, a nie było przecież czasu na to, ~~by~~ aby myśleć o sobie dzieje poza granicami naszych pomieszczeń. Zdawaliśmy egzaminy. Pamiętam zdawałam psychologię ogólną razem z moją koleżanką Ewą Stolińską, która jest, żyje i pracuje w Mikołowie. Zdawałyśmy dłużej, bo we dwie zdawałyśmy przeszło pół godziny. Otrzymałam pamiętam stopień dobry. Byłyśmy obie bardzo zadowolone, bo tak prawdę powiedziawszy to ja tak nie bardzo miałam czas się uczyć. Uczylam się przeważnie albo gdzieś w pociągu albo w drodze. Raz w czasie jakiejś rewizji jakiś gestapowiec zasmiał się z tego co znalazł w mojej torbie, bo znalazł historię filozofii. Zwrócił się po niemiecku do swego kolegi: "zobacz, jakaś niemadra, bo się filozofia zajmuje". Zdawałam chyba jeszcze wtedy u prof. Ajdukiewicza logikę, częściowo zdawałam egzamin z teorii wychowania u prof. Knota i właściwie został mi na normalne studia tylko jeden egzamin i obrona pracy dyplomowej. Wtedy tak - część miałam zdanych w Warszawie, a część na tamtym uniwersytecie. Chciał zaznaczyć, że spośród moich kolegów ze studiów, to z kilkoma osobami jestem w stałym kontakcie. Do pierwszych należy pani Ewa Stolińska, która mieszka w Mikołowie. Kolejny Andrzej Deptuch,

który mieszka w Słonoku. Pan Tadeusz Szyeżowski - nie wiem, gdzie jest, ale wiem, że mieszka w Polacu.

Chodzili oni razem ze mną na wykłady i ćwiczenia, cały czas byliśmy w kontakcie.

Studiowaliśmy nie tylko na podstawie wykładów, ale mieliśmy książki. Dostawaliśmy z Ossolineum i profesorowie dawali, tak że nie było kłopotów żadnych z książkami.

Uniwersytet stał pod okupacją niemiecką, ale istniał także podczas drugiej rosyjskiej. Był uniwersytet cały czas. Pamiętam taki incydent. Wracałam z ćwiczeń u profesora Korta, z Lyczakowa, chyba był to 1944 lub 1945, była to już druga okupacja rosyjska. Bardzo się spierałyśmy na temat związany z ćwiczeniami. Jesteśmy już koło katedry przy ul. Rutkowskiego, ja cały czas mówię bardzo głośno, żeby przekonać Ewę o czymś tam. Patrzę - a Ewy koło mnie nie ma. Oglądam się - nie ma Ewy. Przerazona wsiedlam od razu do tramwaju i jadę do jej rodziców. Mieszkała na bocznej od Jana Sapiehy, nie pamiętam, jak się nazywa. Powiedziałam do rodziców, że wracaliśmy z ćwiczeń i Ewy nie ma. Ewa została aresztowana - i na Sybir! Siedziałam na Sybirze 10 lat. Studia prowadzone były jeszcze w czasie drugiej okupacji rosyjskiej, wykanczane były materiały i zdawane egzaminy. Profesorowie zaczęli już wówczas wyjeżdżać. Ostatni, który wyjechał, a jeszcze miał zajęcia, to był prof. Tadeusz Tomaszewski. I już powiedział wtedy, że już wyjeżdża do kraju i kończy zajęcia. To było chyba w 1945 r.. w połowie, ale nie pamiętam dobrze, to było wtedy, gdy była organizowana władza ludowa, wtedy on wyjechał. Wątpię, czy profesorowie szukali zatrudnienia w uniwersytecie organizowanym przez władzę sowiecką. Nie wyobrażam sobie, żeby szukali tego zajęcia. Więcej było moim zdaniem starszych pracowników

naukowych czynnych na uniwersytecie w czasie pierwszej okupacji rosyjskiej. A w czasie drugiej to chyba już byli inni ludzie. Nie potrafili powiedzieć, jacy. Było tak mało czasu, że myśmy się tym zupełnie nie interesowali.

Wyjechałam na trasę Lwów - Przemyśl. Byłam pracownikiem, miałam legitymację, firmy Józef Kosinski. To była firma zbierała ziobę. W mojej walizce miałam suszoną ziobę. To było moje alibi. Zawsze z tymi ziobami się wleczyłam. Przyjeżdżam na dworzec do Lwowa i od razu ludzie mówią - jest łapanka. Wobec tego nie można nigdzie wyjść, bo jest pełno policji granatowej i jest pełno Niemców. Wszyscy z pociągu idą w kolejce na zewnętrzny dworzec, tam ustawiają się w czwórki i gdzieś idziemy. Mnie spotkało to samo. Byłam przerażona, że będę wywieziona do pracy do Niemiec. Ale jakos szłam tą Aleją Focha i gdzieś chyba zatrzymano nas w punkcie przy ul. Grudzewskiej, to było niedaleko dworca. Stałmy tam tymi czwórkami i Niemcy kolejno zapisują nazwiska i segregują ludzi. Ja byłam w dosyć dużej grupie mężczyzn. Tam była taka druciana furtka i przy tej furtce stał jakiś pan. Nie wiedziałam, kto to jest, bo był tylko w koszuli. W pewnym momencie kiwa do mnie ręką, aby ja do niego poszłam. Podeszłam do niego, a on mówi: "Uciekaj i nie daj się złapać". Zostawiłam walizkę i rzeczywiście uciekałam. Biegłam cały czas. Dobiałam do ul. Leona Sapiehy. Tam na przystanku złapałam tramwaj 4. Tramwaj był pusty. Chyba motorowy zorientował się, że uciekałam, że coś się ze mną złego stało i od motoru wola do mnie, - siadaj na stronę niemiecką. Siadłam na stronę niemiecką, a on cały czas jechał i nie zwolnił, na żadnym przystanku nie stawał. Dojechał do ul. Unii Lubelskiej, bo tam jechała 4 i pyta się mnie, gdzie ja wysiadłam. Ja mówię - tu, koło Nazaretu. Stał na przeciw drzwi, ja zadzwoniłam i weszłam do zakonnicy i powiedziałam, że mnie spotkało.

Innym razem znowu poszłam na ulicę Połczyńska. Takie miałam polecenie. Nie wiedziałam, po co idę. Jakos nie miałam żadnej torby przy sobie. W ogóle, jak byłam na terenie miasta to nosiłam bardzo mało rzeczy, żeby nie było żadnych podejrzeń, bo były ciągle rewizje na ulicy, No i czekałam i czekałam. W końcu wychodzi ktoś i daje mi takie zawiniatko w papierze pakunkowym, ale tym smolowanym, który pęka. Ja nie wiem, co tam jest, ale domyślałam się i biorę to zawiniatko, żeby się coś złego nie stało i nie wiem teraz, jak ja mam pojąć z tym. Jestem bardzo zmartwiona. Wobec tego z Połczyńskiej ulicy idę bocznymi ulicami, między drzewami. Dochodzę do ulicy Zyblikiewicza, idę drugą stroną, tam, gdzie są drzewa. Przechodzę przez ul. Mikołajską, idę na ul. Fredry po to, aby się dostać jak najprędzej do ul. Kurkowej, dawniej Unii Lubelskiej. Jak już jestem na ul. Kurkowej za Podwalem na przeciw kurii biskupiej - papier pęka. Jest wiatr, ale nieduży. Wypada kilka egzemplarzy. Było to pismo grodu, czyli miejscie (?). To co wypadło po kilka egzemplarzy, to przerażona zbierałam, a pojedynczych nie. Z ul. Kurkowej z góry podbiega do mnie żołnierz w mundurze niemieckim, średniego wzrostu chłopak, zaczyna z francuska do mnie mówić "o il la" i pomaga mi zbierać. To wszystko, co się dało pozbieraliśmy, a pojedyncze pozbieraliśmy. Nie było czasu na zbieranie tego. Idziemy razem. Ja trochę znam język niemiecki, rozmawiamy, on mnie odprowadza aż do bramy klasztoru sióstr. Dzwoni do klasztoru, otwiera mi siostra furtianka, siostra Dobrochna, która już nie żyje, bardzo dzielna siostra, bo zawsze wiedziała, że jak ja gdzieś idę to trzeba mieć uwagę na to. Wypadają jej klucze z ręki, jak zobaczyła mnie z Niemcem. Rozprosiłam tego żołnierza, Niemca, powiedziałam, że jestem zakonnicą w cywilu. On mi się bardzo elegancko uklonił, siostra zamknęła furtę

i poszedł. Myśmy potem obie siedły na schody i ona mnie pyta - co ty zrobiła, że ty z Niemcem przyszła do klasztoru. Oczywiście powiedziałam jej, jak to wyglądało, co to było. To był rok 1943.

Ja byłam na zeldzie wojskowym. Nie wiem, ile to było tych pieniędzy. Było to niestety, ale w każdym razie mnie wystarczało i nie upominałam się o żadne większe pobory ani o nic. Poza tym za czasów okupacji niemieckiej piekłam chleb i sprzedawałam. Było tak. Siostry jeździły na pl. Krakowski i kupowały pszenicę. Te pszenice przywoziliśmy razem na jakichś wozkach, to było mniej więcej 50 kilo tej pszenicy. Siostry miały te pszenice na młynku rzecznym, który ja przywozłam z jakiegoś terenu. Miały te pszenice cały noc. Miały te siostry, które pilnowały domu, miały dyżur nocny. A rano siostra kucharka rozpinała i piekla chleb. I ja ten chleb sprzedawałam. Oczywiście tak to trzeba było kombinować, kiedy miałam czas. Musiałam się zmieszczać, strasznie dużo rzeczy pokonać. Przeważnie wynosiłam ten chleb do sprzedaży rano. Mniej więcej brałam do turek 30 kilogramów. Dwie torby miałam, to był pszeniczny, razowy chleb., bardzo dobry, świeży, dobrze wypieczony. Kupowano bardzo szybko. Chleb ten w porównaniu z cenami, jakie były w mieście ja sprzedawałam taniej. Za całą pracę naszą, za mielenie, za wynoszenie, za wszystko - to właściwie było 100 % dochodu. To znaczy, jeżeli pszenica kosztowała załozmy 10 zł to my dostawaliśmy 20 zł za ten chleb. Z tego zarobku, tak ustaliła siostra dyrektorka, że miały siostry chleb, miałam ja chleb i zarobkiem jakos dzieliłyśmy się procentowo. Sprzedawałyśmy, gdzie się dało. Po sklepach i przechodniom i Żydzi kupowali ten chleb z popalowaniem raki. Pamiętam kiedyś straszna rzecz. Niosłam ten chleb, oczywiście wytał mi

z torby. Żydzi szli do pracy i widzieli ten chleb. Stoczeni byli oczywiście gestapowcami. I jeden z Żydów pokazuje mi, że zdejmuję obrączkę, żebym ja mu ten chleb dała. Ja do niego mówię, tak w powietrzu, że ja nie chcę obrączki, że chleb dam chętnie, tylko jak ja to zrobić. I w tym czasie podszedł gestapowca i ja musiałam po prostu udzielać.

Pamiętam taką rzecz, że kiedyś jakimś drogami kupiłam od Niemców, od gestapo wagon pełenicy. Nie wiedziałam, co z tym mam zrobić. Pojechałam do klasztoru Franciszkanów do ojca Rafała. Bardzo się on ucieszył i te pełenice wziął, bo potrzebował dla klasztoru. Ja też dostałam z tego jakieś profit, nie wiem już, czy to były jakieś pieniądze, czy jedzenie. Ale nigdy w zadaniu nie było takiej sytuacji, żebymy się martwili, co będziemy jeść. Ja nie przypominam sobie takiej sytuacji. Oczywiście było bardzo skromnie, mało, ale myśmy właściwie mieli co jeść.

Ukraińcy cały czas liczyli na to, że Niemcy pomogą im zbudować wolną Ukrainę. Współpracowali z Niemcami, kontaktowali się i mordy, które były na całym terenie województwa lwowskiego stanisławowskiego czy tarnopolskiego, no to te mordy były tragiczne. Mój ojciec, kawalerzysta z czasów austriackich bardzo często w nocy wychodził na podwórze, kładł się na ziemię i słuchał, gdzie są jakieś ruchy koni, w jakim kierunku idą. Wiem, że został zamordowany ksiądz w Chlebowicach Wielkich. To było na skraju przy ul. Wielkiej i wiesz Wołoszczyzna. Bardzo ładny kościółek na gorze, to był młody ksiądz. Został zamordowany przez Ukraińców, chyba tamtejszych, bo nikt tam inny nie pozostał. Chlebowice to była długa wieś ukraińska. Była tam część Polaków, ale nacjonalizm tam kwitł. Jak ja się tam wychowałam, to też trudno, ale ja mówiłam bardzo dobrze

po ukraińsku.

To, co mówili rodzice, jak odbywała się w Sobrance likwidacja Żydów. To było coś strasznego. Tam było kilka rodzin bardzo wysoko wykształconych - prawnicy i lekarze. Wiem, że jednego prawnika żona prowadziła aptekę. Któregoś dnia kazano wykopać doł tym Żydom i wszyscy ci, którzy byli tam zebrani, których tam sporowiedziono wiedzieli, że idą na straconie. Wtedy wstał ten prawnik, nazywał się Rubinstein. Miał piękne przemówienie do wszystkich Żydów i do okolicznych słuchaczy i przed zakończeniem swego przemówienia złożył podziękowanie rządowi polskiemu za opiekę w czasie II Rzeczypospolitej, odepiewano hymn "Jeszcze Polska nie zginęła". Tak mi opowiedali rodzice, to na pewno była prawda. Mój ojciec pracował w ubezpieczalni społecznej, której dyrektorem był Rubinszta, ojciec tego prawnika. Poza tym Żydzi w Sobrance nie byli szykanowani ani przez Polaków, ani przez Ukraińców. Odwrotnie, pomagaliśmy im tak, jak się dalo, w organizowaniu rywności, ostrzeganiu przed niebezpieczeństwami. Tak że nie sadze, aby oni mieli zel do mieszkancow. Przezywali wszyscy mieszkancy, jak wszyscy Żydzi, którzy pozostali jeszcze, czy to bylo na poczatku, czy później, bylo kilka pogromow. jak prowadzono ich na stacje kolejowa. Sobrki - Stacja Kolejowa bylo 7 km, wiec chyba wtedy wszyscy mieszkancy, którzy widzieli ten pochody byli przerazeni tym, co sie stalo. Jeden z Żydow, nazywal sie chyba Jankiel chcial sie ratowac i uciekal z podiegu i zostal natychmiast zastrzelony.

Bylo takie miejsce, ktora sie stale powiekszalo, gdzie ludzie, którzy nie mieli z czego zyc, wynosili swoje rzeczy do sprzedania albo na zamiane. Jedni przynosili po to, aby sprzedac jakas serwetke, flakonik, sukienke i kupic sobie chleb czy cos innego, a drudzy handlowali. To miejsce bylo bardzo

wesołe, tam się nikt nie przejmował tym, co się dzieje w okolicy. W tym czasie byli tam handlarze, którzy mieli już dużą praktykę i nie bali się kontroli niemieckich. Tak działali sprytnie, że nie byli właściwie nigdy przeszkodzeni. Ja tam kupowałam pszenicę. Ale tam było towarów bardzo dużo. Było różnego typu towaru. To było podzielone - tu były ubrania, tam była żywność, tam były maki, kasza i tym podobne, pszenicę czy inne zboża. Wszystko miało swoje miejsce. Kupowało się to zupełnie spokojnie, nie było żadnych kłopotów, że tego nie wolno kupić. Ci wszyscy ludzie, którzy wozili żywność byli odważni, śmiało i szli ludziami na rękę. Nigdy nie było tak, że nie można było czegoś tam kupić. Kosztowało więcej, to oczywiście, czy gorał w tamta, czy gorał w tamta, nikt nie przywiązywał do tego wagi. Często było tak, że te zawodowe przekupki, które wiedziały, że klient jest jakiś biedny, niedźny, czy schorowany, to dawały im żywność i pieniądze i nie czekały na jakieś podziękowania. Nie daly zginąć drugiemu człowiekowi, o którym wiedziały, że ten człowiek jest w potrzebie.

Jak wkręcałi Rosjanie, byłam wtedy na terenie Lwowa i byłam w służbie. Wykonywałam te polecenia, które dostawałam od swoich przełożonych. Przekazywałam w miarę możliwości różne rozkazy i docierałam poprzez działania frontu. Pamiętaj, bardzo trudno było mi się dostać z ul. Akademickiej na ul. Sowinskiego, bo tam nie miałam punktu. Jakos tak się udało, że bocznymi ulicami, przez Tarnowskiego góra zupełnie przedostałam się bardzo szybko pod ostrzał obrony rosyjskiej. Zanim tam się przedostałam, to zatrzymałam się bo już nie było jak iść i wtedy spojrzałam z okna - Rosjanie, młodzi chłopcy szli tyralizą wzdłuż ul. Sowinskiego i w bramach domów, które były pozamykane zatrzymali się. Jak zobaczyli zagladających ludzi

z drugiej strony ulicy - prosili wody. Ale nikt nie miał odwagi zejść i chyba nikt im tej wody nie dał. To było bardzo bolesne, że była taka sytuacja, że człowiekowi drugiemu nie można było pomóc.

Wojska rosyjskie przechodziły ul. Sowińskiego w ul. Zielony chyba do wieczora. A cały czas słychać było strzały z przeciwną strony armii niemieckiej. Wieczorem na tej ulicy przyjechała kuchnia polowa z kawą. Żołnierze mieli konserwy - tuszonki i chleb z kawą, to była kolacja. My wtedy w tym domu, w którym czekaliśmy, prawie powiedziawszy nie mieli co jeść. Zeszłam na dół (już można było otworzyć bramy) i porzycaralam te puszeki, kilka tych puszek. Były tam jeszcze resztki tuszonki, ten tłuszcz, mieliśmy jeszcze chleb w domu i resztkami tej tuszonki posmarowaliśmy ten chleb i z herbata to była nasza kolacja. Ale to nie było takie straszne, zabymy padali z głodu, nie, Po prostu była okazyja, że się z tej okazji skorzystalo.

Na drugi dzień miałam jakieś polecenia przejścia z ulicy Franciszkańskiej przez Kurkową na ul. Teatynską. Wiesz, że rano na ul. Kurkowej został zastrzelony ksiądz Pukiziak, który z wiadomości do jakiegoś chorego. Zastrzelili go Niemcy. Przy ul. Teatynskiej stała jednostka niemiecka i cały czas grał karabin maszynowy. Tam był wylot ulicy i on chyba chciał przejść przez ten wylot ulicy i tam został zastrzelony. Zastanawiałam się bardzo nad tym, czy mam mimo wszystko biec, bez względu na to, co się ze mną stanie, czy wrócić. Bo nie miałam takiego rozkazu, zabym się narazala, to nie była aż taka poważna sprawa. No i ja zatrzymałam się, nie poszłam. Wróciłam do siebie na ul. Grotzgera, wstąpiłam do kościoła oo. Franciszkanów. Który z ojców odprawiał mszę świętą, a taki wspominały ojciec Tyburcjusz, zdolny śpiewak, spierał te pieśni

do Matki Bożej "Wolności bije dzwon". Pamiętam, że w kościele był ten ksiądz, który odprawiał mszę, ten który śpiewał i byłam ja. Nikogo więcej nie było.

Była taka sytuacja, że trzeba było zawiadomić ludność co się dzieje. Doostałam dużo ulotek do rozklejenia w mieście. Oczywiście nikt mi nie powiedział, musiałam sobie wszystko sama załatwić. Ulotki, które były wielkości kartki papieru zeszytowego skreśliłam w rulon i wzięłam do rękawa w płaszczu, a w alojku zrobiłam sobie klej z maki. Przyszłam od wewnątrz tasiemka i ten klej trzymał się w alojku na tasiemce. Zrobiłam sobie z wiotkiego patyczka pedzel do smarowania. Przeszłam przez dużą część miasta i nakleilałam te ulotki. Te ulotki chyba informowały o tym, że armie radziecka przychodzi z pomocą i ma dojść do Berlina i zniszczyć Niemców. Ale w międzyczasie dochodziły nas głosy o aresztowaniach Polaków. O aresztowaniach tych, którzy mieli jakieś funkcje ekonomiczne i inne. Wytopowali też w tym czasie przeciwko nam Ukraińcy. Wiem, że mój brat jako młody chłopak stacjonował w bibliotece uniwersyteckiej przy ul. Długosza. Większość z nich chodziła z opaskami. Do przyklejania tych ulotek zobaczyłam go z opaską i zawołałam "boj się Boga, co ty robisz!" Zdejmij opaskę, przecież z każdego okna może paść strza!" Posłuchał, zdjął, ale powiedział: "a teraz ty popatrz na siebie". Okazuje się, że ja byłam całą oblaną klejem z tego alojka jak kleilałam te naklejki.

Później zaczęły się te aresztowania. Często nich zwierzchników poszukiwano. Byli oni na wysokim szczeblu i ja do nich nie docierałam. A ci pomniejsi moi przełożeni, to jednak szykowali się do wyjazdu.

Na temat sytuacji po wkroczeniu Armii Czerwonej były zdania podzielone. Jedni liczyli, że będzie pomoc i powstanie

państwo polskie, a inni zastanawiali się bardzo, byli bardzo ostrożni w wydawaniu swoich sądów i czekali na to co dalej. W każdym razie jak już Niemcy odeszli, to zaczęła się organizacja życia na terenie Lwowa. Oczywiście we władzach byli też i Polacy, którzy byli skomunizowani i byli jeszcze inni. Np. ja zgłosiłam się do pracy w szkole polskiej, która nawiązałam powiązanie była w budynku Nazeretu i pracowałam tam przez cały czas do swego wyjazdu do Wrocławia jako nauczycielka j. rosyjskiego i zastępca dyrektora. Włodzieży było bardzo dużo. Było ponad 700 osób. Przeważnie byli Polacy. Uczyli tam bardzo cenni Polacy, jak np. pani doktor Janina Wieniawska, chyba siostra Przepięta jako cywilna osoba miała lekcje matematyki, pani Chmielewska. Właściwie byli prawie sami Polacy. Chyba był jeden Rosjanin, ale też był bardzo przyjemny, bardzo serdeczny w stosunku do młodzieży. Lekcje odbywały się w języku polskim. Były 4 godziny rosyjskiego, a 2 godziny polskiego. A program był ruski jakis. Myśmy się nad programem tak bardzo nie zastanawiali, Pani prof. Wieniawska np., harderka i polonistka wysokiej klasy miała 2 godz. polskiego a ja miałam 2 godziny rosyjskiego. Wierzę ja biegła na tym swoim rosyjskim robiłam polski. A najważniejsze to, że czytałam teksty. Przecież musiałam zapoznać z "Panem Tadeuszem" i z "Księżmi piąłgrzymatna" i innymi tekstami. Były porównania, np. cały czas porównywałam Mickiewicza z Puszkinem, oczywiście poświęcając więcej czasu Mickiewiczowi. W szkole była stolowka, było więc zorganizowane życie. Można było robić różne rzeczy, które były potrzebne. Np. gdzieś tam można było kupić tureckiego sake. Brałyśmy np. sarki i kupowałyśmy metr maki i dzieliłyśmy między nauczycieli po kilogramie, czy coś w tym rodzaju. Ci ludzie, którzy się ukrywali, to korzystali z tej szkolnej stolowki.

Np. grupa młodzieży ekowskiej, która chodziła do jakiejś szkoły czy gdzieś pracowała korzystając z tej stołówki, dzięki czemu nie chodziła głodna.

Dyrektorka szkoły była Polka, chyba Jadwiga Stankiewicz. Ona wcześniej wyjechała do kraju, a jej siostra była dyrektorką innej szkoły.

Odbывały się normalnie matury. Młodzież zdawała sobie sprawę, z tego, jak jest i była bardzo zdyscyplinowana. Np. pamiętam taką sprawę, jak na Sylwestra (oczywiście Rosjanie bardzo cześć Nowy Rok) - w szkole był Sylwester, były jakieś płyty czy orkiestra i sala, wszystko ładnie ubrane. W pewnym momencie przyszedł inspektor Ukrainiec na kontrolę tego, ale nie bardzo się zachowywał jak trzeba. W pewnym momencie, to było przed szóstą, w szkole nie było ani jednej osoby z młodzieży. Wszyscy poszli do kościoła franciszkanów na zakończenie roku, na nieczynności. Dyrektorka, która była już Rosjanka, pyta gdzie są dzieci. Ja mówię, że zaraz przyjdą. Nie pytała, nie sprawdzała, nie szukała i rzeczywiście po tym nadzrenstwie młodzież jeszcze przyszła na godzinkę, pobawiła się i spokojnie sobie poszła. To był sylwester 1944/1945 r.

Nie pamiętam, jak kształtowały się moje zarobki, ile mi płacono. W każdym razie nie czułam się pokrzywdzona. Były ruble ale ja nie kupowałam niczego. Nie wiem nawet, czy można było coś kupić, czy nie.

W tym czasie w konspiracji przeszedłem do innej komórki, do komórki finansowej. A w szkole jako zastępca dyrektora zajmowałam się sprawami gospodarczymi, ajko że znalazłam teren. Oczywiście nie było czym palić w szkole. Były piece na węgiel, a węgla nie było. Przyszło więc takie zarządzenie, że trzeba jechać do lasu po drzewo. Miałem, kto pojedzie, ja pojedę.

Dostala 7 wozow cięzarowych z jednostki wojskowej przy ul. Teatynskiej. No wiec jedziemy do lasu, ale jakos nie bardzo nam wesoło. Przejelismy drzewo, ktora bylo chyba przed godzina scieta.- mokre, cięzkie kłocce. Kierowcy byli tacy przyzwyczajeni, ze jak cos chcialam ruszyc, to mnie nie dali. Sami wszystko naladowali i przywiezli do kłocce. Rozladowalismy to drzewo i zajelismy cale ul. Unii Lubelskiej. Siostry, ktore mieszkaly w klasztorze nie mialy czym palic. Siostry wyszly i bardzo szybko ko stoczily to drzewo (tam bylo takie miejsce z gorki, tak ze to drzewo sie toczylo) i zabraly do swoich piwnic to drzewo. Oczywiscie dostali kierowcy obiad, nie wiem, czy tam byl jakis alkohol czy nie. W kazdym razie byli bardzo zadowoleni z obiadu i jedziemy drugi raz. Pojechalismy drugi raz do lasu, to bylo popoludnie i przejechalismy drzewo, dla szkoly. Kierowcy sie bardzo rozochocili, bardzo im sie to podobalo wszystko, bo dostali tez kolacje, oczywiscie byli za mnie na ty i potem stale pytali, kiedy jedziemy po drzewo. To drzewo trzeba bylo cięc i czesto bylo tak podczas przerwy, ze pobiera kłocce pilnie ja cięciem siekiera po to, zeby dalej nabilo, to drzewo do klasztoru & to drzewo sycalo, gwizdalo, bo woda byla. Jakos nie sie nikomu nie stalo, nikt sie nie przeziebil, wszystko bylo dobrze.

Pamiętam raz byla taka sytuacja, ze do mnie na j. rosyjski przyszla inspekcja, nie wiem czy jedna, czy dwie osoby. Dawno bylo juz po dzwonku, a mnie w klasie nie bylo, bo na dole rabalam drzewo. Ktos mi nagle mowi, ze on na wizytacja. Przeszlam, przeprosilam te wizytacje, ze byla zajeta i zaczalam prowadzic lekcje. Prowadzilam te lekcje tak, ze wszyscy powiedzieli, ze ja lepiej prowadze lekcje po rosyjsku, jak Rosjanka. W tej klasie byla obecna pani Stasz redaktor Stasz, pani Maria Wos. Ona byla w tej klasie i pamietala dokladnie, mialam nawet

"Dieliejat parusadinokij".Lermentowa.

Znowu trzeba było jechać do lasu, a ja musiałam być bardzo ostrożna w stosowaniu naszych działań konspiracyjnych. Powiedziałam do kierowcy, że muszę być na drugą z powrotem we Lwowie. Wracając z tym drzewem kierowca jakos wjechał w bajoro. Trzeba było drzewo zdejmować. Powiedziałam znowu do kierowcy, czy zdążymy na pewno na drugą, na co on mi odrzekł, że jest takie prawo międzynarodowe, że on musi czekać. I ja się przeraziłam. Jak wróciłam dwie godziny po czasie do Lwowa, to ten ktoś czekał.

Młodzież w szkołach czuła się polska. Wiedzieli o tym, że musi bardzo dbać o to, żeby jak najwięcej i z literatury i z historii dowiedzieć się, to co jest prawdziwe, co jest polskie. Nasze rocznice, polskie czciliśmy. Robiliśmy to może nie w sposób tajny, ale taki, któremu nie można było nic zarzucić. Dla uczczenia czytaliśmy wiersze, były opracowane referaty. W tym nikt nam właściwie nie przeszkadzał. Nie było takich sytuacji, że młodzież coś zdradziła. Ja czasami potrafiłam osła lekcje mówić, czy czytać o Mickiewiczu. To było przyjęte jako sprawa taka, która powinna być. Nie było więc z tego powodu żadnych kłopotów. Ale na pewno były takie osoby, które miały szkołę pod opieką. Chyba z NKWD. Wiedzieliśmy, że duża część młodych osób pracuje w konspiracji. Była taka pani Sysia Fluta, która była w szkole sekretarka - ona żyje, mieszka w Bystrzycy Kłodzkiej. Wezwano ją do wydziału oświaty, gdzie poszła. A księgową i ja na nie czekałyśmy, bo miałyśmy do niej jakieś sprawy... coś pilnego. Tymczasem nie ma jej i nie ma. Patrzyłam w stolowce przez okno. Widziałam, jak szła. I w tym momencie zajechało auto i ją wpakowali do tego auta. Oczywiście wiedzieliśmy, że już jest aresztowana. Przesażdziała chyba kilka tygodni

i jak wyszła, była tak przerażona, że mimo iż nikogo wówczas nie było nie miała odwagi mi powiedzieć, jak było. Chyba w końcu powi działa mi do ucha monosylabami, tak że ja właściwie nie wiedziałam, co ona mówi. Taka sytuacja trwa do dzisiaj. Jeżeli tylko wspomnę jej o aresztowaniu, o co chodziło, co robiła, to ona do dzisiaj nie chce o tym mówić.

Konspiracje takie, jaka była za czasów niemieckich - była na szeroką skalę. Teraz zmniejszyla się. Z pewnych agend chyba już zrezygnowano. Była ta czas, która po prostu musiała być. Nastroje były bardzo, powiedziałabym bolesne. Wszyscy sobie z tego zdawali sprawę, że Lwów polskim miastem nie będzie. Mówili o tej linii Curzona i o tym, że już tutaj nie ma co robić. Chyba do kwietnia 1946 r. działała komórka finansowa. To co miałam robić to przekazywać rozkazy czy pieniądze lub inne sprawy - to przekazywałam, ale to już nie było tylko pracy co w okresie niemieckim. Ja przekazywałam innym łącznikom i nie potrafię powiedzieć, czy to były jakieś zapomogi, czy wypłaty. Chyba było kilku łączników, zanim ostatni dotarł do celu. Szefem finansowym był pan Strzebocz i jego żona. On już nie żyje. Oni byli poza tym we Wrocławiu i mieli sklep tam, gdzie teraz jest dom wody.

Wez Lwowa powstał związek Patriotów Polskich, ale tam była okraczona grupa ludzi. Myśmy się nie pchali do tego, bo oni byli właścicielami i siebie zadowoleni. Nie wiem, czy mieli jakieg z tego profity. Ale myśmy się nie angażowali, nie kontaktowaliśmy się z nimi zupełnie.

Jak się zaczęły aresztowania, to NKWD miało dosyć dużo danych. W wielu punktach miasta robione tzw. kotły. Wiem, że szukano jednego z panów, nie znalazłam jego nazwiska, ale nie raz go widziałam. Przyszłam na swój punkt przy ul. Sowickiego

miałam wyznaczony termin, kiedy mam przyjść znowu z jakimiś sprawami i powiedziano mi, abym była ostrożna, bo mogą zastać niemieckich Żydów. Ja oczywiście byłam bardzo niepokojona, zdenerwowana byłam bardzo, ale wzięłam butelkę mleka, żeby w razie czego mieć alibi przy sobie. I rzeczywiście - dzwoni, otwiera mi pani, do której miałam przyjść i mówi do mnie: "o Zosiu, przyniosłaś mleko". Ja mówię "tak, byłam u rodziców i przyniosłam mleko". A w przedpokoju przed lustrem stoi pan w cywilu i czesze się meszkiem grzebieniem. Zamknięto drzwi, ten pan prosi mnie do pokoju drugiego. Ja jestem bardzo przerażona, ale robię wszystko, żeby się opanować. Ta pani zabrała mleko do kuchni i dała swojej matce, a ja miałam mufkę i w tej mufce miałam bardzo dużo materiałów. Pokwitowałam różnych i jakieś książeczki wojskowe na kilka nazwisk i nie wiem, co tam jeszcze. Położyłam tę mufkę na krześle, a płaszcz z kołnierzem szelowym, jaki miałam, położyłam na to krzesło i przysiadłam tę mufkę. Miałam przy sobie teczkę, w której miałam wykaz nauczycieli ze szkoły na zakup ziemniaków. Przygotowywałam się do tego, że przywieźe ludziom ziemniaki na zimą. Oczywiście wiedziałam, że jest to NKWD. Pytano mnie, skąd znam tę panią, dlaczego przyszłam. Odpowiedziałam, że to moja nauczycielka, że to, że właśnie, że przyniosłam mleko dla swojej nauczycielki. To przesłuchanie nie było dla mnie straszne, nikt mi tam nie robił rewizji. Myślałam tylko, jak je wstawię teraz. Jakos udało mi się wstawić, wziąć ten płaszcz i mufkę zawinąć w płaszcz. Poszłam do przedpokoju, a potem w pewne miejsce i zaczęłam robić porządek. Co było niepotrzebne, to podarłam i wrzuciłam do muszli. Ale były takie rzeczy, których nie mogłam wrzucić. Przedarłam więc pasek do ponczoch, jaki miałam na sobie i ten to wszystko pochowałam. W rozmowie z panią, do której przyjechałam

dozły,ony do wniošku, że chyba jesteśmy aresztowani. Wobec tego trzeba się przyszykować do tego aresztu. Zdjęłam wszystko z siebie - bieliznę, ponczochy, wykapalam się, wypralam wszystko, polozyłam na kaloryfery, żeby to wszystko wyschło. Ta pani na kolacje pamiętam ugotowała kasza jaglana na mleku, poprosiłyśmy ankanudystów, żeby przyszli na kolacje. Podziękowali. Pamiętam, że wtedy była jeszcze ta pani siostra, która przyjechała też do niej i przyszła manikiurzystka. Najbardziej się denerwowała manikiurzystka. Oczywiście nie wypuszczono nas. Z pania, do której przyszedłam spałam na podłodze na jakimś materacu, czy na czymś tam. O 8 rano, oni byli w tym pokoju, czekali, że ktoś przyjdzie, powiedzieli: "iditis dawoj". Byliśmy z jednej strony przerażona, a z drugiej zadowolona, że idziemy do domu. Ale zabysmy była aż tak szczęśliwa z tego powodu, to nie powieściłabym. W ciągu chyba pięciu minut znalazłam się wtedy na Unii Lubelskiej. Ale w czasie tego kotła najbardziej bałam się tego, że może mnie szukać mój brat. A mój brat miał inne nazwisko. I ja sobie pomyślała; że jeżeli on przyjdzie mnie szukać - to koniec, wtedy wszyscy siężymy. Ale Pan Bog dał, że nie przyszedł i mnie nie szukał. Dopiero się dowiedział za dzień czy dwa, że byłam w kotle. To była jesień 1944 r. późna jesień, bo jak pojechałam po te ziemniaki, to one mi zmarły, po drodze. Znowu się popsulo ta kaskaska auto rosyjskie. Nie wiedziałam, co z tymi ziemniakami zrobić. I ktoś mi ułatwił, nie wiem, kto, że ja te ziemniaki oddalam do garzelni. Ale można było kupić te ziemniaki bez kłopotu.

Idzaliśmy sobie sprawnie, że są aresztowania i ludzie, którzy wiezieli, że wywiad rosyjski zna ich działalność jakoś dosyć szybko się likwidowali. Wp. były taka sytuacja, że pani, też harcerka, która przyjmowała od mnie przysięgę, pani

Musia Groszek była aresztowana. Chyba Janina, tam były dwie siostry. I ja idąc ulicą na Wschodnich Matemanskich patrzyła - idzie Musia Groszek. Strasznie się ucieszyłam, że idzie Musia Groszek. Ale ona do mnie mówi ruszając tylko ustami - "nie podchodź, nie podchodź!" Okazuje się, że za nią czekał enkawodysta, który czekał, żeby ona spotkała na ulicy po to, aby go aresztować.

Wtedy dowiedzieliśmy się o aresztowaniach naszej góry. Wszyscy wiązaliśmy dokładnie jak to wygląda, że jest bardzo źle. Poszczególne ludzie szykowali się wcześniej do wyjazdu. Czasem moich przelapanych wyjechała chyba w 45 roku a ja wyjechałam dopiero w 46, kiedy już pochowałam wszystko, co się dało. Broni trzeba było pochować. Broni, stany, jak ja miałam, to trzymałam je pod schodkami u siostry na Żeratkach. Tam były różne stare, podarte dywany, chodniki, czego tam nie było... To też przed wyjazdem oddałam w odpowiednią ręce. Marysia Skierska, która teraz jest we Lwowie była cały czas zajęta tymi sprawami. I tak np. udało nam się czasem ludzi wyciągnąć z kryminału. Np. wyciągnęłam z kryminału ojca Paryna. On został aresztowany chyba w 46 roku po Trzech Królach, to było 6 stycznia. Siedział pół roku. Maiwiazaliśmy kontakty z jakąś panią, która miała znajomych, którzy mieli znowu jakiegoś znajomego z prokuratorem. No i całe historie, jak to tego ojca Paryna wyciągnąć. W końcu, po pieropalkach przez pół roku ci znajomi tego prokuratora zdecydowali, aby kupić serwis-stołowy. U którejś Polki, która sprzedawała, myśmy kupili bardzo ładny serwis. Dostałam pieniądze i kupiłam ten serwis za 900 rubli. Też było pytanie, czy ojciec wyjdzie. Zdecydowałam, zaniosłam ten serwis w koszu na kartofle na ul. Piekarów tam, gdzie on mieszkał i na następny dzień ojciec Paryna wyszedł z kryminału. I zaraz po tym wyjechaliśmy, już nie pamiętam dokładnie, czy 15 VI, w każdym razie tutaj już byliśmy w pierwszych dniach

lipca.

Jeżeli chodzi jeszcze o ukrywanie tych spraw konspiracyjnych - to pisanie ja żadnych przy sobie nie miałam. Prasa to się poddawało ludziom. I bron to ludzie zabierali i chowali, m.in. do dzisiaj została zakopana i nie wiadomo, co się z nią dzieje.

Jeżeli chodzi o prasę podziemną - były bardzo różne tytuły. Ja byłam najbardziej związana z "Grodni Ozerwienkimi". One się ukazywały przez cały czas okupacji niemieckiej i przez pewien czas okupacji rosyjskiej. Chyba do 1945 roku.

Myśmy byli bardzo na dole zaszczeni - to były trzy okupacje. Narzyliszy o tym, żeby odpocząć. Ja przypominam sobie, jak przyjechaliśmy tutaj, na Pułaskiego stał ten wazntransport, ja przyjechałam ze Lwowa transport chorych. Ponieważ większość poważnych Polaków zdecydował się na wyjazd, ja doszłam do wniosku takiego, że ja nie mam co tu zostawiać sama bez ludzi, w których miałam zawsze oparcie i z którymi mogłabym dalej pracować. Chciałam za wszelką cenę skończyć studia i chciałam, aby mój brat, który zdał konspiracyjną maturę też skończył studia. Nie mogłam zostawić moich starych rodziców w moim miasteczku Bóbrce. Doszliśmy do Wniokę, że trzeba wyjeżdżać. Rodzice zarejestrowali się w Bóbrce, myśmy się zarejestrowali w Lwowie. Z tą rejestracją nie było specjalnych kłopotów.

Ciągle wierzyliśmy, że może coś jeszcze zajdzie, że my nie wyjedziemy. Czekaliśmy właściwie na ostatni transport. Powiedzieli nam, że ten transport, którym teraz jedziemy, to będzie transport ostatni... Zdecydowałam się na to, żeby prowadzić transport chorych. Przy ul. Kopernika był taki dom, nie pamiętam, jak on się nazywał, tam gdzie byli chorzy. Podjął się tego był ten oczywiście brat poważniejszy ode mnie, z Związku

Patriotów, który właściwie dbał właściwie o swoją sprawę. Ostał swój wózek, zapakował swoje rzeczy cenne czy nie cenne, i nie go więcej nie obchodziło.

Musielaś tych chorych przywieźć i załadować. Oni też mieli rzeczy dużo swoich różnych rzeczy, były jakieś tam otomany, łóżka, szafki. Tak że to załadowywanie trwało chyba dwa dni, a może i dłużej. Często ludzie czekali chyba ze swoimi rzeczami na dworcu, tam gdzie podawali pociąg, chyba z dworca towarowego.

Zabrałam ze sobą butle z wodą, dwie worki bułek, zabrałam trochę jakichś lekarstw. Do Przemyśla dojechaliśmy bardzo szybko, za dwie lub trzy godziny. Związek Patriotów też załatwił, że z chorymi trzeba jak najszybciej, bo mogą po drodze poumierać. Transport nie był strażony, nikogo to nie obchodziło. Ja zorganizowałam jakieś pielęgniarki, był jeden lekarz, ale prawdę powiedziawszy do Przemyśla nikogo to nie obchodziło. Jechaliśmy spokojnie, jeszcze w tej atmosferze lwowskiej. Od Przemyśla sytuacja pogorszyła się, bo dokładnie nie wiedziałam, gdzie pojedziemy, ale skierowana nas na Wrocław. Tutaj wyładowałam tych ludzi już z ludźmi z Wrocławia do zakładu przy ul. Marcina 10. Od Przemyśla jechaliśmy jeszcze dwa dni, to też szybko było. Ten pociąg często stawał. Były punkty żywnościowe, gdzie ludzie zdrowi szybko biegli i odbierali jakas zupę, kawę, czy coś innego. Byłam bardzo zadowolona, że tego, że jakos wszyscy dojeżdżali. Zmarł mi jeden pasażer już na podwórku u siostr zakonniczek na Marcina 10.

Pozay chorymi i różnymi znajomymi, których musielaś wziąć, bo trzeba było wziąć, jechali ci, którzy się ukrywali. Ja właściwie nie wiedziałam, kto gdzie. Co ja zrobiłam. - poszperałam do swojej teczki wszystkie karty repatriacyjne. Tak była kontrola w Medyce, to przy sprawdzaniu tej kontroli tak się

znudzilo szukanie kart poszczegolnych osob, ze juz ich potem nie szukalam. Pamietam, ze w Medyce na punkcie kontrolnym zabrano mi chyba 6 osob. Mialy one wracam do Lwowa, ze nie maja dokumentow. Nie wiedzialam, gdzie te dokumenty sa i nie wiedzialam, co to za ludzie. Powiedzialam sobie, ze przeciez musze tych ludzi ratowac. Poszlam na punkt kontrolny i powie do tych panow- sluchajcie, kogo wy zostawiacie, przeciez to sa ludzie chorzy. Tam raczywiscie jedna kobieta lezala, druga sie krzywila. I ja sobie - zostawcie tych ludzi, po co wam to. No i oni machneli raka na te moje argumenty i ci ludzie przyjechali. Pozniej bylo taka sytuacja, ze jak sie ludzie wyladowywali, to przychodzili do mnie i szukali w mojej teczce swoich dokumentow i znajdowali. Ja np. mialam w swojej karcie (mam ja do dzisiaj) z pisane dziewczynke. Ona nazywala sie Ela Kuczynska. Ja nie wiedzialam, kto to jest i nie widzialam tej dziewczynki, tylko mialam ja na karcie. Nie wiem, czy to byla Zydowka, czy to byl Polka, nie wiem, kto to byl. I takich kart z roznymi takimi niespodziankami bylo dosyc duzo. Pozniej, jak poszlam do wydzialu wiejskiego, gdzie kazali mi isc i zglosic sie do takiego pana Piastuchowicza (on zyje do dzisiaj), ktory byl delegatem, dostalam Nieska, zeby mnie oprowadzila po Wilczykach i zebym zrobila jakis kat. Wziela ta chalupina, to bylo oczywiscie w ruinie do remontu i tak tutaj zostalam.

Gdzie ja poszlam ? Powiedzialam, ze juz mam dosc opylaty. Ja przyjechalam w jednym kostiumie i mialam tylko jedna bluzke. Jak ta bluzke pralam, to chodzila w koszuli niestety. Powiedzialam, ze juz nie chce miec z owiata nic wspolnego i poszlam pracowac do zegluga. Na zegluga miala wtedy stozkowka, pamietam, ze zarabialam wtedy chyba okolo 20 000 miesiacznie. To podobne

było dużo. Pracowałam tam w propagandzie, razem nawet z panią Tomaszewską. W pewnym momencie wola mnie dyrektor i powiada - proszę pani, pani ma jedną przygotowania pedagogiczne. I pani założy szkołę we Wrocławiu, szkołę żeglugi, produkcji. Na sobie myślę - Boże mój, uciekłam do żeglugi i oświata mnie nie minęła. No i zakładałam te szkoły. No i oczywiście ukończyłam uniwersytet, napisałam pracę magisterską.

Nazywam się Zofia Skąła z domu Konopelska.

Urodziłam się 23 IV 1916 r. w Bóbrce koło Lwowa. Ojciec Franciszek był urzędnikiem w Ubezpieczalni Społecznej / dawnej kasie chorych/ a mama - Magdalena prowadziła skromne gospodarstwo domowe.

Mieszkaliśmy w Bóbrce przy ulicy Kopernika 140, dawniej Zamłynie. Przed wojną mieszkałam i zaczęłam studia w Warszawie. Do żadnych partii politycznych nie należałam, ale należałam do harcerstwa od 1931 roku.

W Warszawie prowadziłam drużynę harcerską przy ulicy Dobrej^{Ln} była to 60 drużyna dziewcząt ze starszych klas szkoły podstawowej.

Do domu przyjechałam w połowie lipca 1939 roku, dlatego że prowadziłam obóz harcerski., właśnie tej drużyny w Kaletach koło Sopoćkiń. W domu byli rodzice i dwaj bracia: Marian i Bronisław.

Warczenie Armii Czerwonej było dla nas bardzo wielkim szokiem. Nie wiedzieliśmy, czy to prawda, czy to nieprawda, czy to tylko ludzie tak mówią, bo 17 IX Armii Czerwonej jeszcze na terenie Lwowa i okolic Lwowa nie było, ale spodziewaliśmy się każdego dnia, że przyjdzie.

W Bóbrce było bardzo dużo wojska naszego - polskiego. Byli oni bardzo zmartwieni, smutni, chodzili grupkami, kwaterowali po różnych domach. U nas w domu było też kilku oficerów, z którymi właściwie niewiele rozmawialiśmy, tylko ojciec nawiązywał kontakty.

Polacy byli przerażeni - na ten temat niewiele z ludźmi rozmawialiśmy, bo strach nas ogarnął niesamowity. Było nam bardzo ciężko. Nie pamiętam którego dnia weszli żołnierze radzieccy do Bóbrki. Widzieliśmy jak przejeżdżali na małych wózkach - szeroko rozłożonych, niskich, małych drabinach, zaprzężonych w jakieś

bardzo nędzne konie. Byli bardzo nędznie ubrani, ale wszyscy mieli karabiny z bagnetami. Jechali cały czas, nie zatrzymywali się zupełnie, widocznie mieli takie polecenie, że mają jechać i nie zatrzymywać się.

Dopiero za parę dni pojawili się ludzie, którzy zaczęli obejmować administrację w Bóbrce.

Najpierw - z tego, co wiem - nie widziałam tego, ale mówił mi to mój brat - jak tylko wkroczyli, to z miejsca biedota miejska - byli to Polacy i na pewno Ukraińcy - a było takich w Bóbrce dosyć dużo - zeszli się do folwarku / to było niedaleko od mojego domu / i zaczęli grabić cały folwark "Biały Dwór". Był bardzo dobrze utrzymany, bardzo dobrze zagospodarowany. Podobno dano bryczkę i konie właścicielom folwarku państwu Czajkowskim - tam był pan Czajkowski jego żona i głuchy brat pana Czajkowskiego pojechali w jakimś kierunku - nie wiem. Rozgrabili wszystko. Podobno z chlewów zabrali świnie i pobili natychmiast jedną czy dwie, nawet nie czyścili ze szczeciny, tylko zapalili ognisko niedaleko nas i tam zrobili sobie ucztę - brali na jakieś kawałki drzewa, gałęzie to mięsko piekli i jedli. Oczywiście śpiewali, krzyczeli - było to bardzo bolesne. Przyglądało się temu bardzo dużo młodzieży, między innymi mój brat też, pobiegł tam, żeby zobaczyć, jak to wygląda.

Rozebrano też ziemię, nie wiem jak to dzielono. Uzbierano jakieś resztki zboża, jarzyny i ziemniaki - co się dało, ale później, jak trzeba było to zagospodarować na zimę, to nie było chętnych.

Niejaki pan Bojko, nie pamiętam jego imienia / to była większa rodzina Bojków / objął władzę jakby starosty. Wiem, że np. Oświata, ^{Włosa,} się zawsze interesowała, objął pan Dźiwńczuk też Ukrainiec, nasz sąsiad, bardzo przyzwoity człowiek, który zabrał się za

organizację oświaty na terenie Bóbrki i całego powiatu bóbreckiego.

Administrację na terenie Bóbrki wzięli w swoje ręce Ukraińcy życie codzienne było męczące. Nikt nie nie oczekiwał, sklepy były prawie puste. Ale to nie przeszkadzało nam, każdy coś tam w domu miał i obchodził się z tym co ma.

Byłam tak strasznie przybita i tak strasznie zmartwiona, że przez tydzień chodziłam codziennie na stację kolejową Chlebowice - Bóbrka, po to, żeby się dowiedzieć, czy idą już pociągi do Lwowa, czy nie, czy dostanę się do Warszawy. Tym bardziej, że tak, jak mi potem mówiła matka - Warszawa poszukiwała mnie, poszukiwała drużynowej drużyny 60. Ale mi o tym wtedy rodzice nie powiedzieli, bo bali się, że ja pójdę nawet pieszo, że będę się chciała dostać.

Staralam się zająć czymkolwiek w domu - trochę pracą w ogrodzie sprzątałam, prasowałam. Ciągłe uważałam, że niedługo będę na tym terenie. Ale jak już zaczęły ruszać szkoły - a ja byłam związana ze szkołą - to doszłam do wniosku że też trzeba się czymś zająć. Nie poszłam sama do tamtego Wydziału Oświaty, do pana Dsiwnyca, jakoś nie miałam odwagi, nie chciałam. W końcu poszedł mój ojciec. Powiedzieli, że jest już dosyć późno i wszystkie miejsca w Bóbrce są zajęte i jeżeli chcę, to mogę dostać miejsce zatrudnienia we wsi niedaleko Bóbrki - w Wodnikach. To było chyba 14 czy 15 kilometrów. No i oczywiście później poszłam do tego Wydziału Oświaty. Nie wiem czy podpisałam jakąś umowę, czy dostałam jakieś zaangażowanie. Akurat była konferencja wszystkich dyrektorów szkół i ja wzięłam udział w tej konferencji i poznałam swego kierownika szkoły w Wodnikach - niejakiego pana Bosakowa to był Ukraińiec. Szkoła oczywiście była szkoła ukraińską. Ja znałam dobrze język ukraiński, miałam nawet prawo nauczania w języku ukraińskim

i nie sprawiało mi to specjalnych trudności i boleści.

Pojechałam do tych Wodnik trochę przerażona, nie spokojna, ale ojciec mój, ponieważ był kontrolerem Ubezpieczalni Społecznej i miał bardzo dużo różnych kontaktów w powiecie bobreckim miał m.in. w tych Wodnikach znajomego sędziego niejakiego pana Myśka. On się budował i tak się złożyło- że miał w tym domu pokój czy nawet 2 pokoje wolne a bał się, żeby nie zajęli ich żołnierze radzieccy wobec tego odstąpił mnie to mieszkanie. Oczywiście nie za to nie płaciłam, bo nie miałam z czego.

Pierwsze moje pobory to było 130 rubli, a kilogram mięsa wieprzowego w uboju gospodarczym kosztował 100 rubli.

Życie więc było bardzo skromne, rodzice dowozili, co się dało z domu. Nie było tego za dużo, nie było luksusów, bo po prostu nigdzie ich nie było. Ale głodu nie cierpiałam.

Chciałam, żeby moi bracia też chodzili do szkoły średniej więc zapisałam ich do VI Gimnazjum we Lwowie przy ulicy Lyczakowskiej. Mieszkali razem ze mną. Musiałam gotować im obiad, dawać jedzenie. Byli bardzo zadowoleni z tej szkoły. Codziennie dochodzili do stacji Stare Sioło 3 km i stamtąd odjeżdżali. Ale to trwało krótko, bo mój brat - Marian starszy, już był w jakiejś grupie konspiracyjnej i chyba z początkiem grudnia wybrał się w świat. Oczywiście został aresztowany na granicy siedział w więzieniu w Charkowie. Ojciec mój dostał zawiadomienie o tym aresztowaniu, a później przychodziły listy z Charkowa. Brat był później w Kazachstanie w kopalni i następnie dostał się do armii Sikorskiego. Tak jak opowiadał, to chłopcy biegli 12 km, ażeby jak najszybciej dostać się do rejestracji. W chwili aresztowania był w III gimnazjalnej - miał 15-16 lat. Brat mój jest teraz w Londynie.

Z tego co mi ludzie opowiadali wiem, że niektórzy Ukraińcy witali wojsko radzieckie chlebem i solą - gdzieś nawet na mojej ulicy niedaleko mojego domu.

Żydów w sąsiedztwie mieliśmy obok dosyć dużo. To byli bardzo przyzwyczajeni ludzie, dobrzy sąsiedzi, dbający o sąsiadów. Oni z miejsca zaczęli się dostosowywać. Raz przyszedł taki w średnim wieku Żyd z miasta - a zawsze był starannie ubrany - bez krawata i powiedział "musiałam zdjąć krawat, żeby się bardziej podobać władzy radzieckiej". Uspakajali nas, że wszystko będzie dobrze, że nie ma zmartwienia, że dobrze, że Rosjanie stawiają ^{ogór} ~~per~~ Niemcom, bo wszyscy bali się Niemców.

Pamiętam wybory w 1940 r - na wiosnę - to były pierwsze wybory w moim życiu. Byłam przerażona, że idę pierwszy raz do wyborów w takiej sytuacji. To był dzień Wielkiej Nocy. Oczywiście przygotowania do tych wyborów były bardzo duże. Były zebrania - tzw. mityngi po wsiach. Było nawet tak, że na jednej ulicy było kilka grup, żeby nie było tłoku. Ludzie zbierali się w jakimś tam domu przychodził taki enkawudzista i wyjaśniał tłumaczył. Najboleśniej było to, że wszyscy z mówiących - Rosjanie wyzywali Polskę od szlacheckiej, zgniłej. "Zgniła Polska" bez przerwy to człowiekowi brzmiało w uszach.

Ja ułożyłam sobie te wybory tak, że wstanę rano, bardzo wcześnie i pójdę jak najszybciej na te wybory w Wodnikach żeby zdążyć do kościoła w Bóbrce na rezułację. No i oczywiście udało mi się to. Oddałam głos w szkole. Sala była pięknie ozdobiona tymi różnymi papierami, portretami, kwiatami, wejście też - licho wie co tam było. To wszystko robiły dziewczęta ukraińskie. Raz, że Polaków tam

było mniej, a drugi raz, że one się tym zachwycaly.

Piaskiem wysypane wejścia, pozamiatane -- w ogóle nadzwyczajności. Oczywiście to było bardzo nędzne i prymitywne i wszystko to raziło bardzo. Oddałam ten głos i biegiem pod górę i idę do swojego domu na święta i na rezurekcję do Kościoła. Tak biegłam, że stanęłam w kościele jak już procesja wchodziła do kościoła. Byłam na całej rezurekcji później poszłam do domu. Świętowaliśmy z wielkim smutkiem, bo brata już w domu nie było.

Część domu była zajęta przez Lemków, którzy byli sprowadzani do jakiś robót. Oni zajmowali jeden duży pokój i korzystali w domu ze wszystkiego, co było potrzebne. Było ich chyba 6.

Na Wielkanoc mama poprosiła ich na śniadanie. Śniadanie było bardzo skromne. Pamiętam, że kupiłam dosyć duży kawałek wołowiny w uboju gospodarczym i z tej wołowiny zrobiliśmy różności.

Była pieczeń wołowa, kotleciki mielone, grzybki -- tak żeby ta wołowina była w różnych postaciach. Moment zyczenia był niesamowity, bo Ci Lemkowie tak się strasznie rozplakali, bo nie przypuszczali że ich poprosi się na śniadanie wielkanocne, a oni z dala od domu, od swoich rodzin.

Kłęczeli długo, modlili się bardzo długo, zanim się jakoś uspokoili i byli szczęśliwi, że przeżyli święta wielkanocne w skromny ale uroczysty sposób.

Ja na tej wsi, w Wodnikach czułam się dobrze. Dawałam sobie radę ze szkołą. Czasami miałam jakieś trudności w nauce przyrody, ale wtedy używałam nazw polskich i nic się nie stało.

Ludzie mnie szanowali i lubili, dzieci też miałam bardzo chętne do pracy. Nie miałam żadnych kłopotów.

Przed wojną ukończyłam seminarium nauczycielskie w Nazarecie przy ul. Unii Lubelskiej 9 we Lwowie. W Warszawie zaczęłam studia psychologiczno - pedagogiczne. Chciałam iść dalej, zgłosiłam się więc na Uniwersytet. Najpierw szukałam psychologii i oczywiście jej nie znalazłam. Wtedy we Lwowie asystentem psychologii Tadeusz Tomaszewski dzisiejszy profesor. Z nim byłam w kontakcie i ciągle się pytałam, kiedy będzie otwarta psychologia. Niestety w pewnym momencie powiedział mi, że nie będzie otwarta wobec tego poszłam na historię. Zdałam bardzo dobrze egzamin, byłam zdumiona, że aż tak dobrze. To było późną jesienią lub w styczniu. Nie wiedziałam, czym pachnie ta historia. Pomyślałam sobie - "wykluczone" i zostawiłam historię i poszłam na rosyjski. Byłam na rosyjskim przez cały czas okupacji rosyjskiej. Były to studia zaoczne, jeździłam na sobotę i niedzielę - całą niedzielę miałam zajętą.

Często jeździł też do Lwowa mój kierownik. Ja wiedziałam, że on jest gdzieś i on wiedział że ja jestem gdzieś. Ja szanowałam jego, on szanował mnie. Na tematy polityczne i narodowościowe wogóle się nie mówiło. Obserwowało się różne rzeczy, człowiek wiedział, ale nie robił z tego żadnej wielkiej sprawy.

Na Uniwersytecie było bardzo dużo młodzieży i polskiej i ukraińskiej i rosyjskiej, i żydowskiej. Tłok był niesamowity. Uniwersytet nie był zniszczony, wszystko było starannie utrzymane. Na wykładach było dosyć dużo młodzieży. Na tym moim rosyjskim też było dużo młodzieży, było dużo Polaków. Wszyscy przejmowali się studiami. Pamiętam, że zdawałam teorię literatury u profesora Rosjanina. Liczyłam na to, że ten egzamin będzie dla mnie łatwiejszy. Miał dużą wiedzę, dużą biegłość, bardzo był uprzejmy, nie było żadnych szykan, niczego. Można było odczuć, że się studiuje

na prawdę. Nie wszystkie zajęcia - nie wiem dlaczego - odbywały się na Uniwersytecie. Np. historię literatury zdawałam przy ul. Rutowskiego, tam też odbywały się chyba ćwiczenia.

Ponieważ od 1931 roku byłam harcerką, cały czas w trakcie okupacji rosyjskiej byłam w luźnych kontaktach z moją drużynową we Lwowie Marysią Skierską i z innymi młodszymi harcerkami. Zastanawiałyśmy się nad tym, co będzie dalej, co mamy robić, przekazywałyśmy sobie książki. Specjalnych zebrań nie miałyśmy, bo nie było jak. Ja miałam mało czasu, bo ciągle musiałam ze Lwowa wracać do Wodnik, gdzie miałam swoje locum. Niektóre z nas kontaktowały się z ludźmi, którym pomagały - starszymi i młodszymi chłopcami, którzy ciągle wędrowali, żeby dostać się na Zachód.

Przeżyłam bardzo z całym domem to, jak dowiedzieliśmy się - wiadomość przyszła chyba z Rawy Ruskiej - że mój brat jest aresztowany i że będzie miał rozprawę w sądzie w Charkowie. Oczywiście on nie był sam - była cała grupa. Posyłałyśmy paczki do nich. Wysyłanie paczek, to nie była prosta sprawa, dlatego, że we Lwowie i w Bóbrce paczek nie przyjmowano. Przyjmowano paczki tylko w Kołomyji. Podstawowe rzeczy trzeba było wysłać - jakąś bieliznę, chleb, czosnek, cebulę. Upiekłam z czarnej maki chleb. Do tego chleba dałam kilka jaj i kawałek masła, czy innego tłuszczu, żeby ten chleb miał jakąś wartość. No ale o tym, żeby samej pojechać do Kołomyji mowy nie było, bo pracowałam wobec tego pewnej kobiecie - nie pamiętam czy to była Polka czy Ukrainka zapłaciłam za to, że chciała wziąć paczkę i posłać w Kołomyji. Ona czekała chyba dwa dni w Kołomyji po to, żeby tę paczkę nadać do Charkowa. Brat tę paczkę dostał.

Nie miałam specjalnych kłopotów z władzami radzieckimi. Szefową Wydziału Oświaty po panu Dziwniecu została pani Harbuzowa, która na wszystkich konferencjach krzychała "Zgniła Polska". Daiwnycz Ukrainiec został zwolniony bo później władze ukraińskie zostały zwolnione i wszystko objęły władze radzieckie, Rosjanie przyjeźdźni.

Jak odchodzili Rosjanie ja po coś poszłam do Wydziału Oświaty - tam było pełno papierów. Znalazłam skrypt, książkę który był wydany w Rosji w 36 roku i tam były wszystkie nazwiska, kto czym miał się zająć na terenie, który zajmą / między innymi - oczywiście szukałam Bóbrki i znalazłam - Bóbrka miała cały skład nazwisk rady powiatowej, sądu i oświaty/.

W tych swoich Wodnikach prowadziłam chór. Dzieci chętnie przychodziły. Dziewczęta i chłopcy śpiewali bardzo ładnie i lubiłam słuchać. Specjalistką nie byłam, ale jako harcerka śpiewałam poprawnie.

Każde osiedle, czy wieś miało swojego opiekuna enkawudzistę. To był pan w średnim wieku 45 - 50 lat - skromny, skromnie ubrany, bardzo mało mówiący. W lutym 1940 roku wieczorem przyszedł na ten chór i słuchał, uśmiechał się kiwał głową i ciągle zapraszał nas, żeby śpiewać, jeszcze śpiewać, a już było dosyć późno /godzina 9/. Kierownik szkoły był też i starsi ludzie. Gdzieś koło godziny 10 powiedziałam, że muszę wracać do domu, bo ja później sama nie zajdę, bo się boję. Kierownik powiedział, że mnie odprowadzi. Ten enkawudysta został w szkole, młodzież się rozeszła. Naraz około godziny 2 w nocy ktoś puka do mojego okna. Ja zrywam się - jest kierownik, mówi "Słuchaj wstawaj, szybko się ubieraj i idź do szkoły zapal pod kuchnią w piecu, bo tam jest pełno ludzi".

Tyle było mówienia. Ja zdenerwowana ubrałam się i poszłam do szkoły. Otwieram, a przy drzwiach szkolnych stoi z kierownikiem enkawudysta. Jakos wpuszcil mnie do szkoły. Otwieram drzwi jednej z sal i narez niesamowity krzyk: "Pani Konopelska, co się dzieje, co się stało, co to będzie". Wołała pani Swoboda, to była żona gajowego. Ona była z całą rodziną, 3 małych dzieci. Straszny płacz, straszny lament. Ona była w jakimś nędznym bardzo okryciu wierzchnim a na nogach miała buty drewniane, z których wystawał wiecheć słomy. W takich butach chodziła chyba do bydła.

Zabrałam się do roboty, zapaliłam w piecu. Ponieważ w jednej salce była kuchnia, tam też postawiłam czajnik z wodą po to, żeby zrobić herbatę, coś gorącego.

To trwało aż zaczęło śniec. Ludzie przyjeżdżali było ich coraz więcej. Poszłam do Kooperatywy i tam kupiłam 25 dkg cukru, które było owinięte w kartkę od zeszytu. Pamiętam, że kilka razy chodziłam po ten cukier. Chociaż nie można było go dostać sprzedawczyni w sklepie - Ukrainka nie robiła żadnych trudności dawała tego cukru tyle, ile razy ja poszłam. Gdzieś w okolicy południa przestali ludzie przyjeżdżać, zjawił się też kierownik szkoły - bardzo zdenerwowany. Wszyscy ludzie - Ci, którzy byli przygotowani na wywóz i Ci, którzy tam przychodzili byli bardzo niespokojni, zdenerwowani. Gdzieś koło godziny drugiej po południu zajechało przed szkołę kilka san - niskich, chłopskich, ze słomą, derkami i na te sanie wsiadały kolejne rodziny. Byli pilnowani przez 2 czy 3 rosyjskich "mołopców" i około 3 po południu transport 8-9 san /10 rodzin polskich - ok. 40-50 osób/ wyruszył. Trasa prowadziła pod górę. Wszyscy Ci ludzie mieli dojechać do Starego Siola do wagonów. Jak już wszyscy siedzieli na tych saniach, to byli

tylko Ci, którzy powozili kołmi i służba rosyjska. Nikogo z ludzi nie było. Stałam na tej szosie, śnieg zaczął padać dużymi płatami człowiek zaczął płakać i wtedy przypomniałam sobie Grottgera Grottger, prawdziwy Grottger.

Obok mego domu w Bóbrce aresztowano policjanta, gdzie go zabrano nie wiem. Później wywożono rodziny tych, których aresztowano. Była to służba policyjna i Ci, kupili ziemię parcelowaną po folwarkach. Wywieziono taką rodzinę z ^{JEZUPOŁA} Jempeła - 6 dzieci i rodziców. Później wywiezli żony i dzieci policjantów. Wśród wywiezionych byli: Jakubowski Rozalia Kubas.

W Wodnikach byłam tylko do lutego. Wezwano mnie do Wydziału Oświaty i powiedziano mi, że ponieważ została wywieziona kierowniczka szkoły polskiej z Wołowego a wszyscy wiedzieli, że jestem Polką i dam sobie radę z kierownictwem szkoły wobec tego zaproponowali mi kierownictwo szkoły polskiej w Wołowym.

Wzięłam bardzo chętnie - byłam bliżej domu, a poza tym wolałam pracować z Polakami aniżeli z Ukraińcami. Wodniki nie chciały mnie puścić, nawet przedstawiciele rodziców - chodzili do Wydziału Oświaty, ażeby w Wodnikach została.

Ale szefowa Wydziału Oświaty pani Herbułowa nie zgodziła się. Ja byłam bardzo zadowolona z tego, bo byłam w szkole polskiej. Mój ojciec miał też kontakty w Wołowym. W folwarku w Wołowym stała jednostka ^{rodzieca} rodzieleza. Podobno zachowywała się bardzo przyzwoicie, nie było żadnych historii, ludzie czuli wręcz jakąś opiekę nad sobą przed różnymi wybuchami Ukraińców.

W Wołowym najczęściej nie spałam. Z mieszkania tamtej nauczycielki w szkole korzystałam bardzo rzadko, bo nie chciałam być sama. Bardzo często szłam tych 12 km do domu po to, żeby

rano wstać iść z powrotem.

Czasami odwoził mnie ojciec, ale bardzo rzadko, bo nie chciałam go męczyć swoimi sprawami. Tam też nie byłam długo, bo nie wiem dlaczego, zaproponowano mi znowu szkołę w Chlebowicach - a to była już szkoła niepełnośrednia. Tamta była podstawowa. Objęłam kierownictwo szkoły w Chlebowicach we wrześniu 1940 r. i byłam tam do wybuchu wojny z Niemcami w 41 roku.

To była bardzo długa wieś - ulicówka, ciągnąca się przez kilka kilometrów. Polaków tam było nie tak wielu, ale był kościółek bardzo ładny i młody, bardzo przyjemny ksiądz, który został zamordowany później przez Ukraińców.

Postawy Ukraińców były różne, ale nie ujawniali ich na zewnątrz. Byli tacy, którzy bali się różnych represji i aresztowań, gdy przyszły władze radzieckie. Wiem, że na tym terenie były aresztowania, ale nie było ich dużo. Były aresztowania bardzo znanych ludzi. Wyglądało na to, że oni są aresztowani na skutek donosów. Czy te donosy robione były ze strony polskiej? - Chyba nie. Może ze strony Żydowskiej albo innych Ukraińców. Byli i tacy, którzy byli zaangażowani w tajne życie, konspiracyjne, ale byli i tacy, których to nic nie obchodziło, jak im będzie nieźle, to im wszystko jedno jaka będzie władza.

Często padało - ale dobrze że już Polski nie ma.

Ale byli też tacy - np. pan ^{ALFAWICKI} ~~Akamicki~~, który należał ze swoją córką do "Proświty", był bardzo czytany i on przychodził dosyć często do domu i uspokajał nas "tak nie będzie, będzie inaczej, musi być inaczej".

Ludzie bali się "kołchozów", kolektywizacji. Ludzie pracowali, zdawali kontyngenty, żeby nikt się ich nie czepiał.

Nastrój był przygnębiający, nikt się nie cieszył, nikt się nie śmiał. Byłam tak przygnębiona przez cały czas, że nie pamiętam, czy się kiedyś śmiałam. Cały czas trzeba było uważać. Nie chodziłam do kina. Propagandy było pełno, ale nikt się na to nie patrzył. Czasami między rodzinami rosyjskimi i Polakami występowały jakieś nici przyjaźni czy zrozumienia. Pamiętam raz poszłam do sklepu i był smalec, zdaje się tylko dla Ruskich. Rosjanka jakaś w sklepie powiedziała sprzedawczyni "daj jej tego masła" i dostałam tego smalcu 10 czy 15 deka.

We Lwowie było jakieś życie towarzyskie.

Restauracja "Kijów", w której czasami jadłam jakiś posiłek - była zawsze pełna.

Taką sytuację najbardziej odczuwała młodzież. Nie wiadomo było co robić, czym się zająć. Chłopcy myśleli cały czas o wojsku polskim - przynajmniej ta grupa, z którą ja miałam kontakty. Dużo młodzieży się uczyło, czytali historię. Były nawet takie sytuacje, że rozrywali książkę na kilka części i korzystali z nich. Starsi - tak jak moi rodzice - porównywali, dlaczego tyle jest tego zła w Europie, bo przecież za Austrii było tak wspaniale. Żyli sobie spokojnie Ukraińcy, Polacy i Żydzi. Polacy świętowali zasadnicze święta ukraińskie, Ukraińcy polskie.

W czerwcu 1941 roku byłam w Chlebowicach. To był już koniec roku szkolnego, ale ja coś miałam jeszcze do zrobienia.

W pewnym momencie gospodyni, u której mieszkałam powiedziała mi, że Niemcy idą. Ale na wsi był spokój. Usłyszałam jakieś samoloty. Gospodyni moja mówi: "Nie wiadomo, kto to leci, czy nasi, czy inni" - "A którzy "nasi" i zaczęły się żarty na ten temat. Jakoś nie z tego nie robiłyśmy. Nie mogłam dojść szosą do Bóbrki /7 km/

tylko musiałam iść polem. W Bóbrce była niesamowita panika. Kto żyw czym i jak mógł, jechali wszyscy w różne strony. Rosjanie różnymi wozami jechali na stację Chlebowice, na Przemysłany i w trzecim kierunku. Momentalnie w ciągu 2 dni nie było ani jednego Rosjanina w Bóbrce. Wszyscy przerażili się, że jest bezhołowie. Wtedy powołano straż obywatelską, w której byli i Polacy i Ukraińcy. Ponieważ były naloty i bombardowania uciekliśmy z domu - brat, ja i ojciec na wieś Łany. Była to wieś ukraińska. Wzięliśmy ze sobą coś do jedzenia. Byliśmy tam kilka dni. Gdy Rosjanie odeszli wróciliśmy na wózku z Łanów do Bóbrki.

Z tego co obserwowałam Ukraińcy cieszyli się z tego, że przyszli Niemcy. Np. w Łanach poszłam do domu księdza Unickiego, który miał za żonę sąsiadkę naszą z domu. Porozmawiałam z nią i ona w pewnym momencie mówi do mnie, że mi coś bardzo ciekawego pokaże. Prowadzi mnie do sypialni. W sypialni stoją dwa łóżka, a nad nimi pośrodku swastyka niemiecka i trzyczub. Nie zapamiętałam tego, przerażiłam się, ale nie chciałam jej tego przerażenia pokazać. Chyba powiedziałam, że ładnie zrobione. Pomyślałam sobie, jak może osoba na poziomie tak myśleć. Oni mieli dwóch synów, którzy później zostali aresztowani przez władze radzieckie.

Wszyscy Polacy cieszyli się, że nie ma Ruskich dlatego, że bali się tych represji, które odczuli na sobie. Pod koniec pobytu Ruskich było dosyć dużo aresztowań były łapanki. Aresztowani byli Ukraińcy, nie Polacy, bo już ich nie było. Wiem, że doprowadzono różnych Ukraińców do więzienia w Bóbrce, koło sądu / "za górą", 3 Maja/.

Później przed samym odejściem szukano bardzo na mojej ulicy pana Stanisława Kozakiewicza. To był Ukraińiec ale z rodziny mieszanej. Część rodziny była polska, bardzo patriotyczna, a część rodziny była ukraińska. Była to duża, dosyć bogata rodzina. Bukawudyści przeszukali wszystkie strychy i znaleźli p. S.Kozakiewicza w sianie nad jakąś szopą. Zabrano go - i jak mówili ludzie - wrzucono go i innych do beczek z kwasem solnym - żywych.

Później były pogrzeby tych 9 czy 10 ludzi, których zwłoki znaleziono w więzieniu w beczkach, jak twierdzili ludzie. Min. powiedziała mi to siostra p. Kozakiewicza. Ja na tym pogrzebie nie byłam, bo nie wytrzymałabym tego wszystkiego.

Z Łanów wróciliśmy na 3 dzień. W domu nie było ani jednej szyby. Na podwórzu było pełno Niemców. Myli się, golili, przygotowywali śniadanie. Przywitaliśmy ich po niemiecku, byliśmy zadowoleni, odczuliśmy pewnego rodzaju ulgę, że już tamto się skończyło - a co zaczęło? myśmy nie zdawali sobie sprawy. Niemcy nie sprawiali żadnego kłopotu. Pytali się o różne sprawy. Wszyscy podziwialiśmy porządek, czystość. Mój ojciec, ponieważ był w armii austriackiej ciągle mnie mówił - "Zobacz jak wygląda porządek".

Z początku władza była ustosunkowana przychylnie, robiła jakiś ład, uruchamiała, co się dało uruchomić.

Ja doszłam do wniosku, że nie mam co robić w tym małym miasteczku, a ponieważ byłam cały czas związana ze Lwowem, od 12 lat siedziałam w tym mieście, wobec tego pojechałam do Lwowa, żeby nawiązać jakiś kontakt, zacząć jakąś pracę. Niemcy uruchamiali wtedy szkoły polskie. Dzięki swojej pani profesor Gorbaczowskiej Janiny dostałam się do szkoły w Sygniówce. Uczyłam tam bardzo krótko. Nawet nie wiem dlaczego, czy została rozwiązana, czy nie

było odpowiedniej liczby dzieci. Już wtedy nawiązałam kontakt z "Szarymi Szeregami", starymi znajomymi i weszłam do pracy Konspiracyjnej.

Nie miałam gdzie mieszkać, wobec tego zgłosiłam się do "Nazaretu", którego byłam wychowanką i tam siostry mnie przygarnęły. Spałam w pokoiku wraz z siostrami oddzielona od nich parawanem.

Zgłosiłam się na punkt kontaktowy i powiedziano mi co mam robić. Miałam na terenie 3 województw organizować sztafety dla Armii Krajowej / woj. lwowskie, stanisławowskie, tarnopolskie/. W tej pracy pozostawiono mi całkowitą samodzielność. Miałam jechać np. do Przemyśla i po drodze ustalać punkty sztafetowe. To była sprawa bardzo trudna, bo ja przecież niewiele znałam ludzi. Staralam się najpierw spośród znajomych uzyskać jakie takie kontakty po to, żeby gdzieś się zaczepić. Jakoś to mi się udawało. Większość czasu spędzałam w terenie albo szłam pieszo, albo jechałam jakimś przygodnym autobusem, albo jechałam pociągiem. Np. na linii przemyskiej dotarłam w Przemyśle do druhny Janiny Drystowej. Ona była hufcową na terenie Przemyśla a może nawet całej Ziemi Przemyskiej. Od niej otrzymałam parę nazwisk, parę adresów w kierunku na Lwów, tak że mogłam dotrzeć do Mościsk, do Gródka Jagiellońskiego. W Gródku na punkcie sztafetowym był ksiądz Jan Smutek. W Sądowej Wiszni nie mogłam nikogo znaleźć, więc weszłam do klasztoru Benedyktynek, ale też nie mogłam tam skontrolować się z nikim i nie istniał punkt sztafetowy w Sądowej Wiszni, a był w Mościskach, ale nie pamiętam nazwiska.

Tak samo pracowałam na liniach Lwów-Stryj, Lwów - Stanisławów,
Lwów - Tarnopol, Lwów - Jaworów, Lwów - ^{SAN GOR} Semibór.

Na punktach sztafetowych przeważnie były harcerki dawne były też młodsze, byli księża i czasami byli żołnierze AK ale miałam polecenie, żeby raczej do tej pracy nie angażować żołnierzy, bo ich rola jest zupełnie inna.

Jak już miałam gotową linię sztafetową, to wtedy zgłaszałam swoim władzom i szedł meldunek próbny. Było tak, że czasami ten meldunek próbny gdzieś ugrzązł. Musiałam iść do tego punktu i sprawdzać, co było przyczyną tego, że nie doszła wiadomość, polecenie, rozkaz, broń czy pieniądze. Moje jeżdżenie trwało od wczesnej jesieni - X 1941 / 10-14/ aż do 1944 r. włącznie. Cały czas byłam na liniach sztafetowych, bo jeżeli była jakaś sprawa pilna i trzeba było dotrzeć np. do Siemianówki to musiałam jechać do Siemianówki natychmiast. Oczywiście było najpierw podane hasło, odzew. Bardzo ciekawy był "kontakt" w Drohobyczu. Nie mogłam do tego Drohobycza dojechać, bo wsiadłam i pojechałam autem ciężarowym, na jakiś siatkach, na wierzchu. Dojechalismy do Mikłajowa - Drohowyża. Tam coś się popsuło w aucie, wobec czego trzeba było wysiadać. Była noc. Zatrzymałam się z ludźmi w jakimś zajeździe. Potem poszłam pieszo, później znowu samochodem i dotarłam do Drohobycza. Miałam adres ulicę i numer oraz wskazówkę, że jak zapukam, to odezwie się pies, a jak mi otworzą, to pokaże się żółty pies w białe łatki. No i oczywiście tak było. Z sercem nie wuem gdzie.... zapukałam do tych drzwi. Otworzyła mi pani i pokazał się piękny, mały piesek, żółty w białe łatki. Zrobiło mi się lżej, że dotarłam i przekażę wszystko co mam przekazać właściwym osobom. Ale nie wiem czy potrzebny był taki dosyć dziwny adres, bo jak weszłam do pokoju, żeby odsapnąć na ścianach wisiały obrazy komunistyczne i pamiątki ślubu, na którym były nazwiska gospodarzy.

No ale na to nie zwracałam uwagi.

Poza swoją pracą w organizowaniu sztafet, należałam do "Szarych Szeregów". Hufcową była wówczas drużna Wanda Tomaszewska. Normalnie działały drużyny, ale liczebnie były mniejsze. Odbywały się zbiórki drużynowych, tak jakby nic się nie działo. Pamiętam taką jedną zbiórkę, która miała się odbyć przy ul. Kraszewskiego naprzeciw Ogrodu Jezuickiego, bo tam mieszkała drużna W. Tomaszewska. Był to rok 1942. Była wtedy łapanka w mieście. Uważałam, że to wcale nic nie przeszkadza, żebym dotarła na miejsce zbiórki. Jakos dotarłam i akurat po ulicy Kraszewskiego chodziła patrol Gestapo - w tych ciężkich butach. Słychać było te uderzenia ciężkich butów. Zatrzymałam się gdzieś w parku pod drzewami. I gdy oni przeszli koło bramy, gdzie mieszkała pani Tomaszewska, to ja natychmiast weszłam na górę. Chyba było 5 minut po czasie. Drużna Wanda powiedziała mi z takim wyrzutem: "Ooo! spóźniłaś się Zosiu trochę". Nie było czasu na to, żeby jej mówić, że musiałam czekać. Prowadziła zbiórkę, jakby nic się nie działo. Tematem tej zbiórki były: kultura, jej obr^{az}ny, budynki na terenie Lwowa i okolic Lwowa. Miała do tego bardzo dużo materiałów, dużo książek, dużo różnych wycinków. Myśmy mieli polecenie - było nas 7 czy 8 na tej zbiórce - uporządkować to regionami - a więc tematyka zupełnie niewiązana z tym, co się działo za drzwiami.

Trochę byłam też zajęta w organizowaniu tajnego nauczania. Liceum z którym byłam związana, prowadzone było przez panią Stefanię Stipal, drużną, była Komeniantką Chorągwi Lwowskiej. Przypominam sobie obchody rocznicy 11 listopada. Młodzież uroczystie ubrana zebrała się w mieszkaniu p. Stipal. Był orzeł przepasany czarną wstęgą, zapalone świece. Przygotowany był program,

recytacje i fragment historyczny i śpiewy. Byłam wtedy na ^{de} klatce, stałam na klatce schodowej, a dozorca tej kamienicy przy ul. Sowińskiego był na dworze. W pewnym momencie zanim ja jeszcze wyszłam, ktoś puka do drzwi. Stoję przy drzwiach bo nie można było tak zrobić, żeby cała młodzież wiedziała co się dzieje, bo po co to zdenerwowanie, nie wiadomo, jakie byłyby jej reakcje. Ktoś drugi raz puka - ja nic. W pewnym momencie ustało pukanie i usłyszałam, że ten ktoś osuwa się po drzwiach na podłogę. Słyszę, że ktoś inny idzie po schodach okazało się, że dozorca nie mógł zatrzymać Niemca, który był w stanie podchmielonym i wszedł zupełnie przypadkowo do tej kamienicy i pukał do tych drzwi. Dozorca podszedł do niego i jakoś ściągnął go na dół. Dopiero potem powiedziałam co zaszło.

Nie było właściwie w tym Liceum z którym współpracowałam żadnej wyspy ze strony młodzieży. Było dużo młodzieży uczącej się, w sumie było ponad 100 matur. Nauczycieli było dużo, lekcje odbywały się po domach. Grupy były 7-12 osobowe. Mój brat kończył to Liceum i zdawał maturę konspiracyjną we Lwowie. Ja pracowałam jako organizator. Trzeba było zrobić i roznieść podział godzin, zanieść ludziom pieniądze, ustalać zmiany - było więc dużo roboty koło tego, ażeby to tajne nauczanie szło normalnie. W grupie nauczycielskiej była p. p. Rychlewska, która uczyła łaciny. Grono było bardzo chętne, a młodzież uczyła się dobrze. Jak nie było książek, to darliśmy książki na kawałki i kolejno dawało się je innym. Były grupy i ranne i popołudniowe. Kosztowało to naszą pracę, ażeby zgrać te wszystkie grupy.

Młodzież miała świadomość tego, że ma normalną, porządną szkołę. Nauka szła według takiego podziału, jaki był przewidziany

programem - było np. 2 godziny historii, 3 chyba godziny polskiego.

W 1941 roku dowiedziałam się, że jest polski tajny uniwersytet we Lwowie. Nie wiem kiedy zaczął swoją działalność, ale w jesieni zgłosiłam się na Uniwersytecie na mój wydział psychologiczno - pedagogiczny. Duża część wykładów odbywała się w domach profesorów. Logikę z metodologią prowadził prof. K. Ajdukiewicz, filozofię prowadziła pani prof. Izydora Dębska. Ćwiczenia i zajęcia jej odbywały się w Ossolineum - gdzieś za regałami, w magazynie. Pedagogikę wykładał prof. Kazimierz Sołnicki w swoim domu na Lyczakowie. Zajęcia w okresie wiosennym i letnim odbywały się w ogrodzie, przy stole, gdzie siedziało kilka osób i profesor - swobodnie jakby nic się nie działo - prowadził czy ćwiczenia czy wykłady. Historię wychowania wykładał wtedy jeszcze asystent Antoni Knot, psychologię prowadził ówczesny asystent T. Tomaszewski. Zajęcia były bardzo przyjemne, dla nas była to jakaś uczta duchowa, bo z konieczności musieliśmy być zajęci tematami poszczególnych ćwiczeń i wykładów, a nie było przecież czasu, żeby myśleć, co się dzieje dookoła.

Zdawaliśmy egzaminy. Psychologię ogólną zdawaliśmy z moją koleżanką Ewą Stroińską bardzo długo, bo we dwójkę przeszło pół godziny. Otrzymałyśmy stopień dobry. Byłyśmy z siebie bardzo zadowolone, bo prawdę powiedziawszy, to ja tak nie bardzo miałam czas się uczyć. Uczyłam się przeważnie w pociągu, albo gdzieś w drodze. Raz w czasie rewizji jakiś gestapowiec zażądał się z tego, że znalazł w mojej torbie a znalazł historię filologii. Po niemiecku zwrócił się do swojego kolegi: "patrz jakaś niemądra bo się filologią zajmuje". Zdawałam też u prof. Ajdukiewicza logikę, częściowo zdawałam egzamin z historii wychowania u

prof. Knota i został mi tylko jeden egzamin i obrona pracy magisterskiej. Część egzaminów miałam zdanych w Warszawie, a część we Lwowie.

Studiowali wtedy ze mną m.in. Ewa Stępińska ks. Andrzej Deptuch, p. Tadeusz ^{KRZE} ~~S~~yszowski. Razem chodziliśmy na wykłady i ćwiczenia, byliśmy cały czas w kontakcie.

Książki mieliśmy z Ossolineum, niektóre pożyczali nam profesorowie. Nie było żadnych kłopotów z książkami.

Uniwersytet istniał jeszcze w czasie drugiej okupacji rosyjskiej. Pamiętam taki incydent: Wracałyśmy z ćwiczeń od profesora Knota z Łyczakowa - chyba w 1944 r i razem z Ewą bardzo sprzeczałyśmy się na temat związany z ćwiczeniami.

Byłyśmy koło Katedry, na ulicy Rutowskiego. Ja mówię cały czas głośno, żeby przekonać Ewę o czymś tam. Nagle zorientowałam się, że Ewy koło mnie nie ma. Przerażona wsiadłam do tramwaju i pojechałam do jej rodziców i powiedziałam, że Ewa zniknęła. Ewa została wtedy aresztowana i wywieziona na Sybir. Siedziała tam 10 lat.

Wkrótce profesorowie zaczęli wyjeżdżać. Ostatni, który wyjechał, a jeszcze miał zajęcia był T. Tomaszewski.

Zajęcia zakończyły się prawdopodobnie w połowie 1945 roku.

Moim zdaniem - nie wyobrażam sobie, wątpliwe jest, czy Ci ludzie szukali zatrudnienia na organizowanym przez władze sowieckie Uniwersytecie.

Pamiętam jechałam raz na trasie Lwów - Przemyśl.

Miałam legitymację firmy Józef Kłosiński. To była firma zbierania ziół. W walizce zawsze miałam suszone zioła - to było moje alibi. Zawsze się włóczyłam z tymi ziołami. Przyjechałam na dworzec do Lwowa - a tu od razu ludzie mówią - "Jest łapanka". Pełno było

policii i Niemców. Wszyscy z pociągu poszli w kolejce na zewnątrz, tam ustawiają się w czwórki i gdzieś idziemy. Byłam przerażona, że będą wywiezione do pracy do Niemiec. Zebrano nas przy ul. Grodeckiej niedaleko dworca. Niemcy zapisują nazwiska i segregują ludzi. Byłam w dosyć dużej grupie mężczyzn. Tam była drewniana furtka i przy tej furtce stał jakiś pan w koszuli. W pewnym momencie kiwa na mnie ręką, żebym do niego podeszła. Podeszłam do niego, a on mi powiedział - "Uciekaj i nie daj się złapać". Ja mówię "walizka", odpowiedział "Zostaw walizkę". Ja wtedy rzeczywiście uciekłam. Odbiegłam do ulicy L. ^{SAPILNY} ~~Sapilny~~ a tam na przystanku złapałam tramwaj "4". Był prawie pusty. Chyba motorniczy zorientował się, że coś złego się ze mną stało, uciekłam i zawołał mnie, żebym siadła na stronę niemiecką. On cały czas jechał i dzwonił i na żadnym przystanku nie stawał. Dojechał do ul. Unii Lubelskiej i stanął naprzeciw "Nazaretu", gdzie mieszkałam.

Innym razem znowu poszłam na ulicę Pełczyńską.

Nie wiedziałam po co idę, ale takie miałam polecenie. Nie miałam żadnej torby przy sobie. W ogóle jak byłam na terenie miasta, to miałam bardzo małą torbę, żeby nie budzić żadnych podejrzeń, bo przecież ciągle były rewizje na ulicy. Czekam. W końcu wychodzi ktoś i daje mi zawiniątko w papierze pakunkowym, smołowanym, który pęka. Nie wiem, co to jest, ale się domyślam. Biorę to zawiniątko, przyciskam do siebie, ażeby się coś złego nie stało.

Nie wiem jak mam pójść, jestem bardzo zmartwiona. Wobec tego z ulicy Pełczyńskiej idę bocznymi ulicami. Dochodzę do ulicy Zyblikiewicza i dalej idę tak, żeby się dostać jak najprędzej na ul. Kurkową i Unii Lubelskiej. Jak już jestem na rogu Kurkowej, naprzeciw Kurii Biskupiej papier pęka. Jest wiatr ale nieduży...

To było pismo "Grody Czerwieńskie". Jestem przerażona. Pozbierałam to, co spadło po kilka egzemplarzy pojedynczych nie zbierałam. Z ulicy Kurkowej z góry podbiega żołnierz niemiecki, średniego wzrostu chłopak i zaczyna z francuska do mnie mówić "O lala" i pomaga mi zbierać. Pozbieraliśmy to wszystko, co się dało i idziemy razem. Ja znałam trochę język niemiecki i rozmawiamy. Odprowadził mnie aż do bramy klasztoru. Dzwonię do klasztoru, otwiera mi siostra furtionka, siostra Dobro^{ca} i wypadają jej klucze z ręki jak zobaczyła mnie z Niemcem. Ja przeprosiłam tego żołnierza niemieckiego, powiedziałam, że jestem zakonnica tylko chodzę w cywilu, a on mi się bardzo ładnie uklonił.

To był rok 1943.

Byłam na żołdzie wojskowym. Nie było dużo tych pieniędzy, ale mnie wystarczyło, nie upominałam się o żadne większe pobory. Poza tym za czasów okupacji niemieckiej piekłam chleb i sprzedawałam. Siostry jechały na plac Krakowski i kupowały pszenicę. Tę pszenicę - mniej więcej 50 kg przywoziliśmy razem, na wózku. Siostry mieliły tę pszenicę w młynku ręcznym, który przywiozłam z terenu. Mieliły tę pszenicę całą noc siostry, które pilnowały domu miały dyżur nocny. Rano siostra - Kucharka rozczyniała to i piekła chleb a ja ten chleb sprzedawałam, kiedy miałam czas. Przeważnie wnosилаm ten chleb do sprzedaży rano. Brałam do 2 toreb mniej więcej 30 kg. Ten pszenno - razowy chleb, bardzo dobry, dobrze wypieczony, świeży kupowano bardzo szybko. Chleb ten w porównaniu z cenami w mieście i tak sprzedawałam taniej. Za całą pracę naszą było 100 % dochodu. Z tego zarobku - tak ustaliła siostra dyrektorka - miały siostry chleb i ja miałam chleb. Zarobkiem dzieliliśmy się procentowo.

Rachunków pilnowała matematyczka, siostra - dyrektorka, siostra Prezerpia.

Chleb sprzedawałam gdzie się dało: po sklepach i przechodniom. Żydzi kupowali ten chleb z pocałowaniem ręki. Pamiętam kiedyś straszną rzecz. Niosłam ten chleb, wystawał mi z torby i szli Żydzi do pracy. Widzieli ten chleb - otoczeni byli gestapowcami. Jeden z Żydów pokazuje mi, że zdejmuję obrączkę, żebym ja mu ten chleb dała. Mówię do niego, w powietrze, że nie chcę obrączki, ja mu ten chleb chętnie dam, tylko jak mam to zrobić. W tym czasie podszedł gestapowiec i musiałam uciekać.

Kiedyś jakimś drogami kupiłam od Niemców wagon pszenicy. Nie wiedziałam co mam z tego zrobić. Poszłam do klasztoru franciszkanów do O. Rafała. O. Rafał bardzo się ucieszył i tę pszenicę wziął. Ja też miałam jakiś profit z tego. Nie było w zasadzie takiej sytuacji, żebyśmy się martwiły, co będziemy jeść. Nie przypominam sobie takiej sytuacji. Oczywiście było skromnie, bardzo nędznie.

Ukraińcy cały czas liczyli, że Niemcy pomogą im zbudować wolną Ukrainę. Współpracowali z Niemcami. Mordy, które były na terenie województwa lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego były tragedią. Mój ojciec - kawalerzysta z czasów austryjackich Hollerczyk - kładł się bardzo często wieczorem, czy w nocy na podwórzu i słuchał, czy gdzieś są jakieś ^{RUCHY} ~~rzeczy~~ Koni, czy ktoś nie nadchodzi.

Wiem, że został zamordowany ksiądz w Chlebowicach Wielkich. To było na skraju Chlebowic i wsi ⁰⁵² Wołczyzna. Ten młody ksiądz został zamordowany przez Ukraińców tamtejszych.

Jak opowiadali rodzice, likwidacja Żydów w Bóbrce, to było coś strasznego. Było kilka rodzin bardzo wykształconych przeważnie prawnicy i lekarze. Któregoś dnia kazano Żydom wykopać doły i wszyscy Ci, których tam przyprowadzono wiedzieli o tym, że idą na stracenie. Wtedy prawnik Rubinsztajn miał piękne przemówienie do wszystkich Żydów i do okolicznych słuchaczy i na zakończenie swojego przemówienia złożył rządowi polskiemu podziękowanie za opiekę w czasie II RP i odśpiewano hymn "Jeszcze Polska nie zginęła..." Tak mi opowiadali rodzice. Ojciec pracował w Ubezpieczalni Społecznej, którym dyrektorem był ojciec tego pana Rubinsztajna. Poza tym Żydzi w Bóbrce nie byli szykanowani ani przez Polaków, ani przez Ukraińców, wręcz odwrotnie pomagaliśmy jak się dało, żeby było łatwiej ze zdobywaniem żywności, sygnalizowaniem niebezpieczeństw. Nie sądzę, żeby mieli żal do mieszkańców. Wszyscy przeżywali, jak pozostałych Żydów prowadzono na stację kolejową - 7 km od Bóbrki.

Wszyscy mieszkańcy Bóbrki, którzy widzieli ten pochód byli przerażeni tym co się stało. Jeden z Żydów - Jankiel chyba chciał się ratować i uciekał z pociągu i został natychmiast zastrzelony.

Plac Krakowski - to było miejsce, gdzie wszyscy ludzie, którzy nie mieli z czego żyć wnosili swoje różne rzeczy do sprzedawania albo do zamiany. Jedni sprzedawali, by kupić chleb inni handlowali. To miejsce było bardzo wesołe, tam się nikt nie przejmował, tym co się dzieje wokoło. W większości tam byli handlarze, którzy mieli już bardzo dużą praktykę i z różnych kontroli niemieckich nie robili sobie niczego. Działali tak sprytnie, że nie byli nigdy poszkodowani. Ja tam kupowałam pszenicę, ale tam było bardzo dużo różnego typu towaru.

Ci wszyscy ludzie, którzy wozili żywność byli śmiali, odważni i szli bardzo ludziom na rękę. Często było tak, że zawodowe przekupki widząc, że ktoś jest biedny czy schorowany dawały żywność i pieniądze nie czekając na żadne podziękowanie. Nie dali zginąć drugiemu człowiekowi, jak widzieli, że człowiek jest w potrzebie.

Jak wkroczyli Rosjanie do Lwowa byłam wtedy w służbie. Przekazywałam różne rozkazy, docierałam poprzez linie frontu. Bardzo trudno było dostać się z ul. Akademickiej na ul. Sowińskiego, gdzie miałam punkt.

Wojska rosyjskie przechodziły przez ulicę Sowińskiego w ulicę Zieloną do wieczora. Słychać było strzały. Wieczorem przyjechała na tę ulicę Kuchnia polowa z kawą i żołnierze dostali konserwy - suharki. Otwarli je i zjedli na kolację. Myśmy wtedy w tym domu, w którym mieszkaliśmy nie mieliśmy co jeść.

Zeszłam na dół, już można było bramę otworzyć pozbierałam puszki, w których były resztki tuszonki, tłuszczu i zjedliśmy to z chlebem i herbatą - to była nasza kolacja.

Nie było tak strasznie, żebyśmy padali z głodu, poprostu była okazja to się z niej skorzystało. Na drugi dzień miałam polecenie przejścia z ul. Franciszkańskiej na ul. Teatyńską. Rano na ul. Kurkowej został zastrzelony ks. ^{Pł.} Skiziak, który szedł z wiatykiem do chorego /przez Niemców/. Zastanawiałam się bardzo czy biec ze względu na to co się ze mną stanie / przy ul. Teatyńskiej stała jednostka niemiecka i cały czas grał ^{Łm} ~~sk~~ / czy wrócić bo nie miałam takiego rozkazu, żeby się narażać. Zdecydowałam się wrócić. Po drodze wstąpiłam do kościoła O.O. Franciszkanów któryś z ojców odprawiał mszę św., a o Tyburcjusz, bardzo zdolny śpiewak, śpiewał

pieśń "Wolności błysła zorza".

W kościele był ksiądz, który odprawiał mszę św., ksiądz który śpiewał i ja, nikogo więcej nie było.

Była taka sytuacja, że trzeba było jakoś zawiadomić ludność, co się dzieje. Dostałam dużo ulotek do rozklejania w mieście. Ulotki były dość duże, jak kartka papieru zeszytowego. Skręcałam je w rulon, włożyłam do rękawa w płaszczu a w słoiczku zrobiłam sobie klej z maki. Słoiczek przymocowałam tasienką do podszewki. Zrobiłam sobie patyczek do klejenia i przeszłam tak dużą część miasta i nakleilałam te ulotki.

Ulotki informowały o tym, że Armia Radziecka przychodzi z pomocą i ma zniszczyć Niemców. W międzyczasie dochodziły nas głosy o aresztowaniach Polaków, którzy mieli jakieś funkcje akowskie. Występowali przeciwko nam też Ukraińcy. Brat mój stacjonował wtedy w Bibliotece Uniwersyteckiej przy ul. Długosza. Większość chodziła z opaskami. Przy klejeniu tych ulotek zobaczyłam go z opaską i powiedziałam mu: "Bój się Boga, co ty robisz"? Zdejm opaskę, przecież z każdego okna może paść strzał! Posłuchał, zdjął, ale powiedział: "Teraz popatrz na siebie". Byłam cała oblana klejem ze słoika.

Na temat sytuacji po wkroczeniu Armii Czerwonej były zdania podzielone. Jedni liczyli na to, że to będzie pomoc i powstanie państwo polskie, a inni byli bardzo ostrożni w wydawaniu swoich sądów i czekali na to, co będzie dalej.

Zgłosiłam się do pracy w szkole polskiej, która była w budynku Nazaretu i pracowałam tam przez cały czas do swojego wyjazdu do Wrocławia jako nauczyciel j. rosyjskiego i zastępca dyrektora. Młodzieży było bardzo dużo - ponad 700 - przeważnie

Polaków. Uczyła tam m.in. p.dr. Janina Winowska, s. Przepięta p. Chmielewska - prawie sami Polacy. Był chyba tylko jeden Rosjanin, ale bardzo przyjemny i serdeczny w stosunku do młodzieży. Lekcje odbywały się po polsku, ale było np. 4 godziny rosyjskiego a 2 godziny polskiego. Program był niski, ale myśmy się programowi tak bardzo nie trzymali. Np. p. prof. Winowska, harcerka, polonistka wysokiej klasy miała 2 godziny polskiego a ja po 4 godziny rosyjskiego. Wobec tego ciągle na tym swoim rosyjskim robiłam polski. Najważniejsze, że czytałam teksty - przecież dzieci musiały się zapoznać z "Panem Tadeuszem" i z "Księgami Pielgrzymstwa".. i in. Porównując np. Puszkina z Mickiewiczem oczywiście więcej czasu poświęcałam Mickiewiczowi. W szkole była stołówka. Gdy gdzieś można było kupić tańszą mąkę - kupowaliśmy metr mąki i dzieliliśmy między nauczycielami. Szereg ludzi, którzy się ukrywali korzystali z tej szkolnej stołówki - np. grupa młodzieży *akowskiej*, która chodziła do jakiś szkół czy pracowała gdzieś.

Dyrektorką szkoły była Polka - chyba Jadwiga Stankiewicz ona wcześniej wyjechała do Polski. Jej siostra była również dyrektorką innej szkoły. Odbywały się matury normalnie. Młodzież była bardzo zdyscyplinowana.

Np. w szkole był Sylwester. W pewnym momencie przyszedł inspektor Ukrainiec na kontrolę, a tu przed szóstą nie było nikogo z młodzieży w szkole. Wszyscy poszli na zakończenie roku do kościoła oo Franciszkanów na nieszpory. Dyrektorka - Rosjanka spytała się mnie gdzie jest młodzież. Odpowiedziałam, że zaraz przyjdą. Nie pytała więcej, nie sprawdzała. Był to sylwester 1944/1945.

Jako zastępca dyrektora zajmowałam się sprawami gospodarczymi. Nie było węgla, więc nie było w szkole czym palić. Przyszło

zarządzenie, że trzeba jechać do lasu po drzewo. Dostałam 7 wozów ciężarowych z jednostki radzieckiej przy ul. Teatyńskiej. Przywieźliśmy drzewo, które było chyba przed godziną ścięte, mokre, ciężkie. Ci kierowcy byli tacy przyzwoici, że gdy ja chciałam coś włożyć, to mi nie dali. Sami wszystko załadowali. Rozładowaliśmy to i założyliśmy całą ulicę Unii Lubelskiej. Siostry, które mieszkały w klasztorze nie miały czym palić, więc ja poszłam do siostry i one stoczyły to drzewo z górki i zabrały do swoich piwnic. Kierowcy dostali obiad, z którego byli bardzo zadowoleni, więc zaproponowali, żebyśmy pojechali drugi raz. Pojechalismy drugi raz do lasu i przywieźliśmy drzewo dla szkoły. Kierowcom bardzo się to podobało, bardzo się rozochocili bo dostali kolację i pytali się "kiedy jedziemy po drzewo".

Często było tak, że ja w czasie przerwy pocięte piłą kloce rąbałam siekierą, a dzieci nosiły je do klasy. Drzewo to syczało, gwizdało, ale nic się nikomu nie stało. Raz była taka sytuacja, że do mnie na język rosyjski przyszła inspekcja dawno już było po dzwonku, a mnie w klasie nie było - byłam na dole i rąbałam drzewo. Gdy przyszłam, przeprosiłam tę wizytację i tak poprowadziłam lekcję, że wszyscy powiedzieli że ja lepiej prowadzę lekcję po rosyjsku niż Rosjanka.

Młodzież czciła nasze rocznice. Robiliśmy to w sposób, któremu nie można było nic zarzucić - czytaliśmy wiersze, były opracowane referaty. W tym nam właściwie nikt nie przeszkadzał. Nie było takich sytuacji, że młodzież coś zdradziła. Ja potrafiłam całą lekcję mówić o Mickiewiczu, ale nie było z tego powodu żadnych kłopotów. Duża część z młodych osób - wiedzieliśmy to pracowała w konspiracji. Sekretarką w szkole była Rysia Pluta.

Wezwano ją kiedyś do Wydziału Oświaty, a księgowa i ja czekałyśmy na nią, bo mieliśmy jakąś sprawę do niej. Patrzyłyśmy w stołówce przez okno. Gdy nadchodziła już, w tym momencie zajechało obok niej auto i wpakowano ją do tego auta. Wiedzieliśmy, że jest aresztowana. Przesiedziała kilka tygodni. Potem jak wyszła była przerażona. Gdy nikogo nigdzie nie było zapytałam ją, o co chodziło. Nie miała odwagi mi powiedzieć. Do dzisiaj nie chce na ten temat mówić.

Konspiracja za czasów niemieckich była na szerszą skalę, teraz zmniejszyła się, bo z pewnych agend zrezygnowano. Nastroje były bardzo bolesne, wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, że Lwów polskim miastem nie będzie. Wszyscy mówili o tej linii Gersona i że nie ma co tutaj robić.

W tym czasie przeszłam do innej komórki - do komórki finansowej w Konspiracji. Komórka finansowa działała chyba do kwietnia 1946.r. Przekazywałam rozkazy i pieniądze, ale nie było tyle pracy co w okresie niemieckim. Pieniądze przekazywałam innym łącznikom. Nie potrafię powiedzieć, czy to były zapomogi, czy wypłaty. Było kilka łączników, zanim ostatni dotarł do celu. Szefem finansowym był pan Strzembosz.

W ZPP była określona grupa ludzi - byli z siebie zadowoleni nie wiem czy mieli profity z tego. Myśmy nie angażowali się w ogóle i nie kontaktowali z nikim zupełnie.

Jak się zaczęły aresztowania, to NKWD miało dość dużo danych i w wielu punktach miasta były robione tzw "kotki". Pamiętam raz miałam przyjść na swój punkt na ul. Sowińskiego - był wyznaczony termin. Powiedziano mi, żebym była ostrożna, bo mogę zastać

nieciekawych ludzi. Byłam rzeczywiście bardzo niespokojna, bardzo zdenerwowana. Wzięłam butelkę mleka, żeby w razie czegoś mieć to alibi przy sobie. Zadzwoiłam, otworzyła mi pani, do której miałam przyjść i powiedziała mi - "A Zosiu przyniosłaś mleko" - a ja na to - "Tak, byłam u rodziców i przywiozłam mleko". W przedpokoju przed lustrem stan pan w cywilu i czesał się. Zamknęłam drzwi, ten pan poprosił mnie do drugiego pokoju.

Byłam przerażona, ale robiłam wszystko, żeby się opanować. Miałam w mufce bardzo dużo materiałów - pokwitowania, książeczki wojskowe na kilka nazwisk i nie wiem co jeszcze. Rozłożyłam mufkę na krzesło, zdjęłam płaszcz i położyłam na to krzesło i przysiadłam tę mufkę. Wiedziałam, że to jest NKWD. Pytano mnie dlaczego przyszedłam i skąd znam tę panią. Powiedziałam, że to moja nauczycielka i przyszedłam do niej i przyniosłam mleko.

Przesłuchanie nie było straszne dla mnie, nikt mi nic nie zrobił. Bałam się tylko, jak ja wstanę. Jakoś udało mi się wstać, wziąć płaszcz mufkę zawinąć w ten płaszcz i pójść do toalety. Tam zaczęłam robić porządek. Co było niepotrzebne podarłam i wrzuciłam do muszli. Rzeczy, których nie mogłam zniszczyć schowałam do paska na półczochy. W rozmowie z tą panią doszłyśmy do wniosku, że jesteśmy aresztowane. W związku z tym trzeba się było przyszykować do tego aresztu. Zdjęłam wszystko z siebie wykapałam się, wyprałam i położyłam rzeczy na kaloryfery. Na kolację ta pani ugotowała kaszę jaglaną z mlekiem. Poprosiłyśmy enkawudystów na kolację, ale podziękowali. Potem przyszła siostra tej pani i manikiurzystka. Najbardziej denerwowała się manikiurzystka. Spałam na materacu na podłodze. O szóstej rano powiedzieli "Идите дамой"!/.

Z jednej strony byliśmy przerażeni, ale z drugiej zadowoleni, że idziemy do domu. Ja w ciągu 5 minut znalazłam się na UNiI Lubelskiej.

Najbardziej bałam się tego, że może mnie szukać mój brat, który miał inne nazwisko. Pomyślałam sobie, że jeżeli on przyjdzie mnie szukać, to koniec, wszyscy siedzimy. Ale tak Bóg dał, że nie przyszedł i nie szukał. Dowiedział się dopiero dzień później, że siedziałam w "kotle". To była późna jesień 1944 r.

Ludzie, którzy zdawali sobie sprawę, że wywiad rosyjski zna ich działalność dość szybko się likwidowali. Była taka sytuacja, że harcerka, która przyjmowała ode mnie przysięgę p. Janina "Nusia" Grosek została aresztowana. Na Wałach Hetmańskich zauważyłam Nusię Grosek. Strasznie się ucieszyłam, ale ona poruszając tylko ustami przekazała mi, żebym do niej nie podchodziła. Za nią szedł enkawudysta, który czekał kogo ona spotka na ulicy, po to żeby go zabrać.

Część moich przełożonych pojechała w 1945 r, a ja dopiero wyjechałam w 1946 r jak już pochowałam wszystko co się da. Trzeba było pochować broń. Ja miałam steny które trzymałam u sióstr Nazaretanek pod schodami.

Tam były różne stare podarte dywany, chodniki, czego tam nie było... sama nędza. Toteż oddałam przed wyjazdem w ręce odpowiednie, pewnej pani. Tymi sprawami zajęta była przez cały czas Marysia Skierska.

Udawało mi się część ludzi z kryminału wyciągnąć. Z kryminału wyciągnęłam np. O.Parynę. Został on aresztowany w 1946 roku po 3 królach. Siedział pół roku. Nawiazaliśmy kontakty z jakąś panią, która znowu miała znajomych, którzy mieli znajomych z prokuratorem rosyjskim. Po perepałkach przez pół roku Ci znajomi zażądali, żeby kupić serwis stołowy.

Kupiłam ten serwis za 900 rubli. Dostałam na to pieniądze.

Zaciągnęłam ten serwis w koszu do kartofli na ul. Piekarską tam, gdzie mieszkał prokurator i na następny dzień O. Paryna wyszedł z kryminału.

I zaraz - pod koniec czerwca, bo tutaj we Wrocławiu byliśmy w początkach lipca, wyjechalśmy.

Pieniądze przekazałam, prasę porozdawałam ludziom, a broń zabierali ludzie i gdzieś chowali. Do dzisiaj jest zakopana i nie wiadomo, co się z nią dzieje.

"Grody Czerwieńskie", z którymi byłam najbardziej związana ukazywały się chyba do 1945 - jeszcze za czasów okupacji radzieckiej.

Ponieważ większość poważnych Polaków zdecydowała się na wyjazd doszłam do wniosku, że nie ma co tutaj zostawać sama, bez ludzi, w których miałam zawsze oparcie i z którymi mogłabym dalej pracować. Chciałam za wszelką cenę skończyć studia i chciałam też, żeby mój brat, który skończył konspiracyjną maturę też ukończył studia no i nie mogłam zostawić moich starych rodziców w Bóbrce. Doszliśmy do wniosku, że trzeba wyjeżdżać. Rodzice zarejestrowali się w Bóbrce, my zarejestrowaliśmy się we Lwowie. Nie było specjalnych kłopotów z rejestracją. Ciągłe wierzyliśmy, że jeszcze może coś zajdzie, że nie wyjedziemy. Czekaliśmy właściwie na ostatni transport. Powiedziano nam, że transport, którym pojedziemy będzie ostatni. Zdecydowałam się na to, żeby prowadzić transport chorych. Przy ul. Kopernika był dom, w którym byli chorzy. W transporcie był też ktoś poważniejszy ode mnie ze Związku Patriotów, ale on właściwie dbał o swoje sprawy, dostał swój wagon, zapakował swoje cenne czy niecenne meble i nic go więcej nie obchodziło, a ja musiałam tych chorych przywieźć i załadować. Oni też mieli dosyć dużo różnych rzeczy - otomany, jakieś łóżka,

szafki. Załadowywanie się trwało chyba 2 dni, a może i dłużej. Część ludzi czekała ze swoimi rzeczami na dworcu w nocy i w deszczu. Zabrałam ze sobą butlę z wodą, worki bułek, trochę lekarstw. Do Przemyśla dojechalśmy bardzo szybko w 2-3 godziny. Związek Patriotów tak załatwił, że z tymi chorymi trzeba jak najszybciej, bo mogą po drodze poumierać. Transport nie był strzeżony, nie nikogo nie obchodziło. Ja zorganizowałam jakieś pielęgniarki, było chyba 1-2 lekarzy. Prawdę powiedziawszy do Przemyśla jechaliśmy spokojnie w tej atmosferze lwowskiej. Sytuacja gorsza zaczęła się od Przemyśla bo ja dokładnie nie wiedziałam dokąd pojedziemy, ale skierowano nas na Wrocław. Tutaj w końcu chorych wyładowałam w zakładzie przy ul. Marcina 10.

Jechaliśmy około 2 dni. Pociąg dosyć często stawał, były punkty żywnościowe, gdzie ludzie zdrowi szybko biegli i zabierali kawę czy zupę. Byłam bardzo zadowolona, że wszyscy jakoś dojechali pierwszy pasażer zmarł mi dopiero na podwórzu u sióstr Nazaretanek na ul. Marcina 10.

Poza chorymi i paru różnymi znajomymi, których musiałam wziąć, bo trzeba było wziąć, jechali ludzie którzy się ukrywali. Ja właściwie nie wiedziałam, kto jedzie. Pozbierałam wszystkie karty ewakuacyjne do swojej teczki. Jak była kontrola w Medyce, to gdy zaczęłam szukać karty przy wagonie, do tej kontroli tak się znudziło to szukanie kart, że ja wogóle ich później nie szukałam. W Medyce zabrano mi na punkt kontrolny 6 osób. Mieli wracać do Lwowa, bo nie mieli dokumentów. Nie wiedziałam gdzie są dokumenty i co to za ludzie. Pomyślałam sobie, że muszę tych ludzi ratować. Poszłam na ten punkt kontrolny i powiedziałam tym enkawudystom: "Kogo wy zostawiacie, kogo wy chcecie odesłać,

to są ludzie chorzy". Rzeczywiście jedna kobieta leżała, druga się krzywiła. Oni machnęli ręką na te swoje argumenty i ci ludzie przejechali. Ja np. w swojej karcie miałam zapisaną dziewczynkę - nazywała się chyba Ewa Kuczyńska. Nie wiedziałam, kto to jest i nie wiedziałam tej dziewczynki. Nie wiem czy to była Żydóweczka czy Polka. Takich kart z różnymi niespodziankami było dosyć dużo.

Później we Wrocławiu, gdy poszłam do Zarządu Miasta kazano mi się zgłosić do p. Pietrusiewicza - jakiegoś delegata. Dostałam Niemkę, po to żeby mnie oprowadziła po Pilczycach i żeby znalazła jakiś kąt. Dostałam chałupinę w ruinie która niedawno się do remontu i tak tu zostałam.

Zofia Konarska-Skato

*Recepcja nagrobki i opalawot:
Gweps - Hywuh*